

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 10 listopada 1946 r.

Nr 44 (72)

Jan Aleksander Król

Z CZARNEJ ANGLII

Listy z Anglii (I)

(List otwarty do Stanisława Cieślaka *)

Drogi Przyjacielu!

Są dwie Anglie: czarna i zielona. Pierwsza w miastach, druga poza nimi. Od której zacząć? Kiedy Ty wrócisz z Anglii, nie mówiles o zielonej. Nie pamiętam na-

chłopskich jest podstawowym warunkiem ich opłacalności. Wylizales całe listy tych rodzajów produkcji, które w kraju zamienne z surowców na artykuł, wielokrotnie pomnożą opłacalność i na rynkach za-

ris Praz (Agonia romantyzmu), — „Introduction to Production control“ Walkera, „Discovery of India“ Neksu (Dyskusja o Indiach).

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust Polaka, inteligenta z „naszej emigracji“ było: „Złe prowadzicie rewolucję w kraju. W szczególności wy, pisarze, za mało walczyście z kulturowym i chamstwem“.

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem od dyplomaty angielskiego, było: „Ile produkujecie wagonów miesięcznie? A będziecie budować fabryki samochodów? Jaki jest stan waszej elektryfikacji?“.

*

Łondyński port towarowy nad Tamizą ma 70 km długości. Połowę naszego przedwojennego wybrzeża morskiego. Ale, gdy u nas linia piaszczystych wydm, tu każdy metr jest miejscem przeladunku. Każdy metr oznacza kilka milionów funtów rocznego obrotu handlowego. Przypływ morza wznosi wodę na Tamizie. Nad okrętami dźwięczy las pracujących dźwigów. Kilkunastoletnie wyrostki rzucają w przerwie obiadowej kawałki drzewa i puszek z konserw. Czy to jest odpoczynek? Patyki i gazety, zatknięte jako maszt, zalewa fala, oni niezmordowani budują nowe magazyny. Floty statków nie bawią się dziećmi we wszystkich portach świata, tak bawią się nawet u nas dzieci chłopskie nad stawami i kałużami, ale trudno nie dostrzec wielkiej różnicy. Czy to przypadek,



Oto zaś jak wyglądają dzisiejsze „ubogie chaty wiejskie“. Istotnie, są to najskromniejsze budynki, jakie można zobaczyć we współczesnej Anglii.

że na portrecie, jaki w urzędach i miejscach publicznych można oglądać, Król Jerzy występuje w mundurze oficera marynarki? Czy tu o królewskość czy o angielskość idzie? Młody, typowy Anglik.



Hodowla pomidorów w Anglii.

Wzór nie do podziwiania, wzór do łatwego, powszechnego naśladowania. 25% dochodu narodowego przynosi Anglii eksport. 25% to 3 miliardy funtów, to ponad 3 biliony złotych polskich.

Anglia to oceany. Oceany od wieków. To dlatego kiedyś kraj najwcześniejszej rewolucji burżuazyjnej w Europie, najwcześniejszej rewolucji przemysłowej.

Trzymam w rękę strzęp gazety emigracyjnej, w której wypisano, że jeśli się nie odrodzi „psychika oracza“ i „rzemieślnika twórcy“, jeśli się nie uwolni miłości ludzi od „paragrafów“, nie zepchnie rozumu na podrzędne miejsce, to świat cywilizowany runie w przepaść“.

Na dole, podę mną, chłopcy poszukują materiałów na improwizowane okręciaki. Rzuć im emigracyjną gazetę. Będzie zagłębiona na nowy statek.

To, co w tej gazecie spadło na brzeg, u nas w Polsce jest prawie rzeczywistością. Zniszczenia wojny cofnęły nas na pozycję materialnej egzystencji dwa razy gorszą, niż była przed wojną. A któż w Polsce lat przedwojennych mógł powiedzieć, że jest dobrze? Masy narodu na pewno nie. Odnowiła się z konieczności „psychika oracza“, jak „basoniów“ na Podkarpaciu, którzy siebie tej wiosny do pluga zaprzęgli, odnowiła się w niejednej wsi przyczółka sandomierskiego „gospodarka naturalna“ wobec całkowitej dekapitalizacji gospodarstw na tym terenie. Zbuntowani przeciw „paragrafom“ szaleńcy ostrzeliwali chłopów przy dzieleniu ziemi, przy siewie, przy zakładaniu spółdzielni, a ich mocodawcy ujadają na dyktando rozumu, wiedzy i planu, ci „miłośnicy opornego surowca i niepodległej natury“. Czy z tego wynika, że miałem angielskiemu dyplomacie odpowiedzieć — „głupstwo — wagony kolejowe, samochody i elektryfikacja, nam idzie o człowieka, u was może wzorem narodowym jest oficer marynarki handlowej, u nas — oracz, rzemieślnik, u nas piękno miłości ludzi prostych w obliczu niepodległej natury; my ducha rzeźbimy, którego chamstwo i kulturowo uprawiających handel i przemysł zepsuło nam, odnarodowiło...?“.

*

Przyjacielu, zaplątałem się tutaj w to samo, co Ty. W liczby. Gigantyczne liczby. Chyba każdy Polak musi przeżyć to oszołomienie w Anglii. W ubiegłym roku wiosną rząd nasz wyrwał z budżetu kilkadziesiąt milionów na powiaty zniszczone ofensywą: znisz je, gdzie ludzie w jamach i bunkrach dwie zimy przemieszkali, gdzie na ziemi nie zostało nic ani z budynków, ani narzędzi, ani bydła, nic, krom zamianowanych pól. A tu, kiedy pięćdziesiąt lat

wet, czy kto z nas o nią pytał. Stała na penum zarządu ZSCh sprawa pożyczki amerykańskiej dla Anglii. To był Twój „gościńiec“. Dziwny na pierwszy rzut oka, niepokojący przy bliższym poznaniu. Stwierdzałeś, że Anglia przeznaczona w całości uzyskaną pożyczkę na unowocześnienie technicznych urządzeń swego przemysłu, w szczególności kopalni węgla. Górnictwo Wielkiej Brytanii a... Polska, a Samopomoc Chłopska... jakież tu związki? Dowiedziałeś — za pięć lat doczekamy się na węglowym rynku europejskim groźnej konkurencji ze strony Anglii. Inwestycje, które teraz wkłada dadzą jej tańszą i szybszą eksploatację, tańszy i szybszy transport. Oto problem: „będzie coraz trudniejszy eksport naszego przemysłu, o ile nie nastąpi na olbrzymią skalę modernizacja urządzeń“. Dlatego myśląc parę lat naprzód, musimy budować rynek wewnętrzny i budować eksport rolniczy... za lat pięć o naszych możliwościach importowych, o powodzeniu naszego handlu zagranicznego, o możliwości modernizacji przemysłu będzie decydował również eksport artykułów rolnych“.

Twoja teza była prosta. Rozwój rolnictwa zależy od rozwoju przemysłu. Ale w naszym rozwoju przemysłu trzeba wyróżnić dwa etapy. Pierwszy — uruchomienie tego co jest i jakie jest. Na zagraniczny eksport i na import najważniejszych surowców i maszyn przy starych urządzeniach, przy posiadanym potencjale przemysłowym szanse nasze są ograniczone i będą maleć. Dlatego w pierwszym okresie tym, co jest, trzeba nasycić rynek wewnętrzny, wzmocnić chłonność wsi, dobrościć ją, aby w fazie kryzysu wymiany nasza produkcja rolnicza na eksport zapracowała na modernizację przemysłu krajowego, a ten skolei zapoczątkował drugą fazę przemysłowo-rolną już na poziomie nowoczesnej produkcji europejskiej.

Dlatego żądałeś takiego stosunku cen pomiędzy towarami rolnymi a przemysłowymi, aby rolnictwo stać było na inwestycje. Wskazywałeś, że specjalizacja gospodarstw

granicznych sięgną nie tylko najwyższych stawek, ale będą miały zapewniony bezkonkurencyjny zbyt.

Ale czy dlatego mogłeś — wróciwszy z Anglii — zacząć od zielonej? Najżywniejsze sprawy wsi i w kraju i zagranicą rozstrzygają się na wyspach czarnych miast, fabryk i kopalni.

Kiedy po miesiącach mnie z kolei przychodzi pisać o Anglii, również nie zaczynam od zielonej, choć ją ujrzalem najpierw, z samolotu. U nas już jesień późna, pola zżarane i szare, gdzie kępy drzew tam nagie konary i zamieć żółtych liści. A tutaj kraj łąk soczystych zielonych, objętych żywopłotami i drzewami, wśród których nawet debny, nawet topole i klony... zielone, wciąż jeszcze zielone.

*

W pismach naszej emigracji — kazania! „Era przemysłowa wzmocniła żądze podobu przyrody... Psychika oracza, rzemieślnika twórcy, miłośnika opornego surowca czy niepodległej natury — zanika... Zamiat miłości — paragrafy ustaw — taka jest tendencja, wytwarzająca się w nowych formach współzycia społeczno-gospodarczego... Wiara w Rozum prowadzi do takiego pomieszczenia języków, jak w biblijnej wieży Babel“.

(Miesięcznik „Przed Świtem“) „Albo świat zawróci z tego niebezpiecznego kierunku ślizgania się nad przepaścią moralną insanity albo też społeczność narodów cywilizowanych przestanie istnieć“.

(„Dziennik Polski“)

Przyjacielu, Anglia ma w Londynie swój Hyde Park, w którym z ławek głoszą najrozmaitsi prorocy i sekciarze, ten sam park służy również dla niekrepujących się par. Obłęd i szaleństwo, które nie przynoszą szkody, są tu tolerowane, ale też nikt nie bierze ich na serio.

Oceń sam, gdzie mam umieścić dialektykę myślenia emigracyjnego, czy bliżej Hyde Parku czy Charing Cross? Na Charing Cross miesiąc się dzielnicą księgarń Oglądam nowości, grube opisy: „Technik and Civilization“ Levis Mumforda (Technika i cywilizacja), oraz jego „The Culture of Cities“, „The Romantis Agony“ Ma-

*) Stanisław Cieślak, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej.

mu rocznemu budżetowi całego państwa polskiego.

W Szkocji wokół Edynburga i Glasgow stawia się 500.000 domków jednorodzinnych dla robotników. W ciągu dziesięciu lat budowa zostanie ukończona. Oglądałem już postawionych parę tysięcy. W domku 4 pokoje i kuchnia. Elektryczne urządzenia świetlne, ciepłe i kuchenne. Pokój na kolację i lunch, na śniadanie itp., sypialnia i pokój dla dzieci. Fotele, dywany, radio i kominek. Robotnik płaci 2 funty miesięcznie to znaczy dziesiątą część swego zarobku. W ciągu 60-ciu lat spłaci koszt domku. Gdyby u nas podjąć podobne przedsięwzięcie, musiałoby zaistnieć dwa warunki: 1) aby robotnik zarabiał 10 razy więcej, 2) aby państwo stać było na rzućenie w ten długo-terminowy kredyt 500 milionów funtów, tzn. pół biliona złotych, tzn. 10 razy więcej, niż wynosi nasz budżet. A przecież mówię tylko o jednym z kilkudziesięciu ośrodków budownictwa mieszkalnego, jakie w Anglii się planuje i realizuje.

Byłem w fabrykach samolotów. Widziałem „smoki” pasażerskie na 30 osób do lotów transoceanicznych na dalekie lądy, o szybkości 500 km na godz. Nazywają się Yorki, Tudory, Lancastery. Koszt takiego olbrzyma — 100.000 funtów. W jednej tylko fabryce wyprodukowali ich po wojnie już 300 sztuk, tzn. za sumę 30 milionów funtów, czyli znowu prawie za sumę naszego budżetu państwowego. Co tydzień wychodzi gotowy jeden taki smok, aby zacząć krążyć nad 2/5 kuli ziemskiej w angielskim posiadaniu. Przed półtora wiekiem bez nich Anglia trzymała w rękę dalekie lądy. Dziś koszt szybkości i ilość tych Yorków i Tudorów jest widocznym symbolem postępu w światowym tempie produkcji i obrotów handlowych, widocznym symbolem zaawansowanego państwa epoki przemysłowej. A przecież w sytuacji angielskiej jeszcze to mało. Stany Zjednoczone przewyższyły ją w lotnictwie. Okrętów posiadają dziś tyle ile Anglia i inne państwa razem wzięte. Stąd podczas wojny nowe straty, jakie poniosła Anglia w terytoriach i bazach dla okrętów i samolotów na rzecz Stanów Zjednoczonych, stąd dalsze zagrożenie dla jej posiadłości, a to znaczy dla tych zawrotnych sum obrotów i zysków, a to znaczy dla dotychczasowego o nie krótkiej tradycji standardu życiowego Anglika. Oglądałem fabryki samochodów, skąd 150 sztuk wyrzuca się co tydzień na rynek. Fabryka jest w stanie produkować 300 na tydzień. Tempo zwolnił brak części materiałów, brak nawiązanych po wojnie wszystkich koniecznych umów importowych. Rocznie fabryka daje 7000 samochodów. Kosztują drogo — 500 funtów (pół miliona zł.).

Byłem w fabryce miar i wag. Przypomnij sobie wagę w naszym małym miasteczku. Gdyby nie przepis, kusiłby się o jej zrobienie pokątny blacharz i ślusarz. Takie nic. Tu wypada zmienić krajowy pogląd. Są wagi od „elektronów” niemal i są od pociągów i okrętów. Mechanizmy. Wiele serii a z każdej tyle sztuk, żeby opanać rynek naszego miasteczka i w dalekich Indiach. 12 km kwadratowych zajmuje kilkadziesiąt hal tej fabryki. Małe miasto. W przekroju: przemysł hutniczy, drzewny, chemiczny, stolarnie, hydraulika, wyrób części metalowych, cięcie i drażnienie blach różnej grubości, wiertarki, obrabiarki, lakiernictwo, kreślarnstwo, sztab inżynierów, tysiące robotników — a to tylko idzie o... wagę.

Jak sobie dać radę z gigantomachią 400 angielskich, wyrażających ilości towarów, maszyn, urządzeń, kosztów, obrotów handlowych i zysków? Co sądzić z zestawienia tamtych i naszych liczb? Czy nie jest przysłowiową pracowitość naszego chłopca? Czy nie zdzielał się nasz nauczyciel? Nie zajeżdżał na śmierć nasz doktor na prowincji? Czy setki tysięcy bezrobotnych nie mówiły o wielkim wysiłku tych, którzy pozostali w warsztatach pod nieustannym zagrożeniem wyrzucenia na bruk? A jakie summa summarum osiągnięcia, jaki majątek narodowy, jaki dochód społeczny, jakie zarobki, jaka stopa życiowa? Polscy żołnierze, którzy walczyli na Zachodzie, mówią przez zęby: „Trzy wieki spokoju. Czy w tym czasie zaznali Anglicy wojny, okupacji, zaboru na wyspie?” To prawda, ale ona nie tłumaczy nawet w części tych liczb. Dopowiadają: „No, cóż, kolonie, oceany”. I to prawda. I to znaczy wiele, może nawet wszystko, ale w jakim wypadku? Kiedyś papież dzielił nieznaną bliżej kulę ziemską między Hiszpanię i Portugalię. Na dalekie lądy sięgnęła Francja i Holandia. Mieć a zachować i mnożyć zyski to różne zgola umiejętności. Wymknął się świat z rąk wielu państw, Anglia do dzisiaj trzyma w garści potężny jego kawał, choć coraz słabiej. Stany Zjednoczone do niedawna nie miały żadnych dalekich lądów, a przecież ostatnią poważną przewagę pozycji ekonomicznej Anglii nad Stanami Zjedno-

czonymi odnieść trzeba do połowy wieku XIX, do epoki Królowej Wiktorii, do czasów Dickensa. W końcu wieku XIX daje się już zauważyć małą przewyżką na korzyść Ameryki. Po tej wojnie Stany Zjednoczone mają 3 razy większą ilość ludności i spławu żelaza, półtora raza więcej wydobywają węgla, 4 razy większą produkcję elektroenergii i przeszło 10 razy większy dochód narodowy.

Wróćmy do angielskich liczb w porównaniu z naszymi. Wskazują one, w przeciwieństwie do Polski, na kraj bardzo zaawansowany w cywilizacji technicznej, na kraj o stuletniej tradycji narodu przemysłowego. Tyle razy u nas bogactwo i potęgę Anglii przypisywało się jej parlamentarnemu ustrojowi, warto byłoby wreszcie przypisać ją temu, z czego one naprawdę pochodzą: wyższej organizacji ekonomicznej opartej o powszechnie zmechanizowaną, fabryczną produkcję towarów i środków produkcji.

*

Liczy tylko do pewnych granic oznaczają ilość, powyżej wskazują na inną jakość. Dlatego kolosalny wymiar cyfr angielskich nie może być porównywany z niskim wskaźnikiem naszych na płaszczyźnie bezwzględnej, ilościowego zestawienia. Gdybyśmy tak postępowali, dla imponującej różnicy nie byłoby żadnego logicznego wyjaśnienia. Musielibyśmy uciec się do wiary w zdolność narodu angielskiego do tworzenia cudów. I tak się nierządno sądziło u nas. Bywał to podziw, zamykający sobie zrozumienie przyczyn sukcesów tego, kto imponował.

Gdybyśmy mieli pracować tak, jak pracowaliśmy, nie zbliżyłyby się do cyfr angielskich. Trzeba pracować inaczej. Trzeba przejść do innej jakości, do innego systemu produkcji, a wówczas nasze wskaźniki na całym froncie pracy skoczą raptownie w górę. Ten inny system nie jest angielskim sekretem, choć niewątpliwie Anglia pierwsza była w Europie jego inicjatorką. Na oceanie wyprowadził ją, jak wiele nowożytnych narodów, rok 1492, rok odkrycia Ameryki. Użyć tych szlaków musiała już jednak inaczej, niż używały ją przed tysiącletniemi Chinami, Egipcjanami, Grecją, Rzymem, a nawet w okresie wojen krzyżowych Wenecją. Wyjazd Anglii na ocean poprowadził: Galileusz, Kepler i Kopernik. Inne spojrzenie na kulę ziemską, na świat przyrody i materii. Europejskiemu obejmowaniu dalekich lądów towarzyszył rozwój nauk przyrodniczych i ich praktyczne, techniczno-przemysłowe zastosowanie. Wartość tych lądów rosła i odsłaniała się proporcjonalnie do nowych narzędzi i metod czerpania z nich bogactw.

Jakże słusznie prof. Chałasiński zwraca uwagę na złożoną strukturę osobowości społecznej Józefa Conrada. Nie był on — officer marynarki angielskiej na dalekich lądach — wierny tylko swoim akcjonariuszom, był również wierny okrętowi. A to nie to samo. Pierwsza wierność odnosi się do ustroju kapitalistycznego, druga do... cywilizacji technicznej. Warto pod tym względem porównać Dickensa z Conradem. Pierwszy w połowie XIX wieku, drugi u jego końca, Pierwszy, kiedy Anglia produkuje światu, drugi kiedy wskaźniki produkcyjne Anglii i Ameryki już się zrównują. Pierwszy, kiedy przemysł nie nabrał jeszcze rozpędu, a opanowała i wyprzedzała go wiara w demokrację mieszczańską, drugi, kiedy Conrada, zbiega z kapitalistycznej demokracji Europy, poprzedził Verlain'e a gonitł Gogin, wszystkich zaś oczekiwał kontrast cywilizacji przemysłowej z cywilizacją społeczeństw pierwotnych.

Dickens nie jest draśnięty pazurem industrializmu, bo i skądże, za jego czasów, kiedy po drogach kursowały dyliżanse, a każdy trakt prowadził do oberży? W jego powieściach jest nastroj rewalucji burżuazyjnej w jej ostatnim etapie, jeśli za pierwszy przyjąć czasy „okrągłych głów” i radykalnego skrzydła „równościowców”. Cała ta tradycja z przed wieków zbliżenia mieszczaństwa z ludem odzwia na kartach książek Dickensa. W dzieciństwie rozczytywał się w powieściach historycznych. Był postępowcem, bo trzymał z gminem. Ale obraz świata jemu współczesnych modelował nie w przyszłości, modelował na wzorce przeszłości. Obieżyświaty, których spotyka pan Pickwick, to bracia Sowi-drzałów flandryjskich, co to na obiad jadał tłuściości z kaparami, a sam pan Pickwick, wzniesiony „okrągły łeb”, sięga co chwila filantropijnie po książeczkę czekową. Jakby w Dreugłowski obrazek obyczajowy, obrazek średniowiecznego kiermaszu wtłoczono bohaterów rewolucji burżuazyjnej. Najwięcej szczęśliwego hałasu wnosi tu ten, kto miał się na tym sojuszu najbardziej zawieść — lud. Dickens zawierzył liberalizmowi, historia odebrała wiarę w jego nadzieje. Inaczej było z Conradem. Industrializm przez następne pół wieku szeroko się rozprzestrzenił i wzrosł.

Dzieje Conrada-marynarza wpisane są w ten okres industrializmu, który zadecydował o współczesnej cywilizacji świata. I nie jest to paradoksem, że Dickens uwi-ajający się z panem Pickwickiem pod Londynem dalszy był od wyobrażenia sobie przyszłości Anglii, niż na okręgach świata zagubiony kapitan statku, Conrad.

Drogi przyjacielu, kogo byś zalecił młodzieży wiejskiej? Dickensa czy Conrada? Oczywiście, Conrada! Wydaje mi się, jakbym słyszał Twoje argumenty. W dalekim, fantastycznym nieomal świecie, gdzie królujecie przyroda bujniejsza i agresywniejsza, niż u nas na wsi, z czym zdecydowałiby się nasi wiejscy czytelnicy być solidarni? Z naturą czy z okrętem? Czy na tej scenie powtórzyliby: „Za wszystko Bogu dziękujesz, sobie nic nie przypisujesz” — czy też Conradowską dewizę: „Czyń lub gin”? Czy nie dostrzegliby, że to lekarstwa, te narzędzia rozmaite, przyznane na okręcie, rozstrzygają tam o życiu, o lepszym, o europejskim życiu? Czy ten okręt u brzegów dalekich lądów nie otworzyłby im oczu na możliwość dalszych rynków zbytu? Przecież całą naszą ambicją na najbliższe lata jest, aby masy chłopskie poczuły się tak w powieście, jak się czują chłopcy we wsi. Pomyśl — (to Twoje słowa) — od wsi do powiatu! Chłop, który potrafił objąć myślowo gospodarstwo powiatu i radzić nad nią, jak dotąd u siebie na gospodarstwie! Jakież tam wówczas elementy nie wejda w grę? Na miejsce chaosu szachownic, plan wiązania w całość zbóż, hodowli, jarzyn, sadownictwa, przetwórci fabryk, cukrowni, cegielni, młynów, tartaków. Wyobraź sobie tego rozmiaru samorząd rolniczy. Dojrzyj zawiązki branżowe, dla których ambicji i potrzeb państwo musiałoby śpieszyć z nadbudową krajową, czynić umowy eksportowe na zagraniczne rynki. Dla mas chłopskich, patrzących z krawędzi powiatu, Conrad przestałby być powieściopisarzem, a stałby się zwyczajnym maklerem światowych rynków. I oto nam idzie, aby okręt Conrada u dalekich lądów młodzież chłopską wzięła na serio. Aby on przyciągał jej wyobraźnię, jak magnes, aby te odległości, przestały być dla niej fantastyczne. Nacelowana na nie realnie, wyobraź sobie, jak będzie organizować rolnictwo, jak wiązać się z przemysłem, jak według giełdy cen wybierać rynki zbytu, jak się na nie nastawiać i walczyć o ich zdobycie i utrzymanie?

*

Od stu pięćdziesięciu lat każde następne pokolenie Anglików porusza się w coraz bogatszym garniturze urządzeń technicznych, w coraz bardziej skomplikowanych fabrykach i zakładach pracy. Wystarczy się przyjrzeć architekturze miast, aby od stworzyć sobie historię narastających etapów. To tylko niektórzy nasi naiwni ludowcy uważają, że chata nie zabija w nas człowieka, ale zabija go kamienica. Widok jakiegoś miasteczka angielskiego mówi o czymś zgoła przeciwnym. Od budowli z XI wieku posuwamy się do architektury o 2 stulecia późniejszej, potem o wiek, potem o pół, a wreszcie cały XIX wiek stoi przed nami jak na dłoni. Dąży bieżącej najpierw co 30 lat, potem wyróżnić można każde następne 20-lecie, 10-cio i 5-cio lecie „Czyń lub zgin” oto dewiza. Przez te domy płynie wartki nurt historii choć wolniejszy od amerykańskich rekordów przebudowywania się. Czy w galerii tych domów wyraża się ubóstwo duchowe człowieka, czy przeciwnie — rosnące bogactwo duchowe, jego energia coraz to lepiej się organizująca? Mam w pamięci drugi kontrargument: standaryzacja, ten owoc techniki przemysłowej? Oczywiście! Tylko dlaczego to standard został przypisany miastom i industrializacji? Cóż z tego, że oglądam tu całe ulice, całe dzielnice domów tego samego modelu. A na wsi nie ma standardu? Chałupa do chałupy nie podobna? Co innego wewnątrz? A w Galicji do lat 80-tych standard drewnianych piłogów? A standard wiedzy wyłącznie religijnej? A jeśli w r. 1938 mieliśmy na 20 milionów chłopów wszystkich 10 tysięcy po maturze to jak to był standard? W tym rzecz. Od standardów nie da się uciec społeczeństwu, ale jest obowiązek wyzwalania się z gorszych standardów na rzecz lepszych.

Kiedy zwiadałem domki dla robotników, byłem szczerze zachwycony: niechby nam pisarzom takie domki sprezentowano! Ciekawil mnie każdy szczegół, rozmarzałem się przez długie minuty w każdym pokoju, ale urzędnicy angielscy, którzy już nie jedną wycieczkę obwołali po tych domkach, jeszcze w pół godziny po naszym zejściu do samochodów, latali z piętka na parter, gmerali w kuchni i dysputowali zawzięcie.

Przyjacielu, wiesz, jakich mam opozycjonistów. Oni mówią o kulcie rodziny chłopskiej, ale jak jest w chałupie, tej instytucji rodziny? Na jakim ona planie? Tu w Anglii na pierwszym. Tylko bez cudów. To znaczy, że Bóg się rodzi nie byle gdzie. Bóg się rodzi tam, gdzie łazienka i fotele. To

jest ich ambicją. Można by pytać od kiedy? Od stu lat? Ale już w XVII wieku są domy chłopskie — pigtrowe. Idea wygody i komfortu rodzinnego to nie wyraz gnuśności, to w Anglii motor postępu technicznego, wydajniejszej produkcji. I nie pole, nie ziemia będzie nas chłopów mobilizować. W służbie ziemi my wegetujemy. To dom, to szczęście rodziny może wymusić na nas cuda na polu!

Na wielkiej wystawie „Co Anglia może zrobić”, 30 tys. ludzi dziennie. Kolejki są tak długie, że na wystawę wchodzi się z reguły po paru godzinach czekania. Anglicy oglądają towary, które idą na eksport. Wielka Brytania musi podwoić eksport, jeżeli chce wwozić taką ilość surowca i żywności jak przed wojną. Chce — znaczy to — musi. O tym przekonywują tłumy zwiedzających. Co innego poczekać, a co innego nie mieć wcale. Anglicy oglądają na wystawie upragnione rzeczy codziennej potrzeby, z którymi muszą się teraz rozstać, aby je znów dopiero w przyszłości osiągnąć. Cały naród uczestniczy w walce o rynki zbytu. Dlaczego? Bo jest długoletnim wychowankiem niezliczonej ilości instytucji industrializmu. Fabryki, domy handlowe, banki, sklepy, kolejki podziemne, wszystkie środki lokomocji, asfaltowe szosy, przecinające wsie to są te instytucje cywilizacji technicznej. Każdy Anglik pozostaje pod bezpośrednim wpływem kilkudziesięciu z nich, dlatego nie chce spaść ze standardu życiowego, jaki naród już osiągnął. Dlatego biegnie zobaczyć co angielski przemysł wyprodukował, mimo, iż wie, że przecież nie dla niego, choć on sam w tej produkcji zdławił wysiłek.

Drogi Przyjacielu, przypominasz sobie po 20-tym roku „Piasta” — politykę „drogiego chleba”? Politykę zachłanności za możnego włościństwa. Chciało ono zniesienia ceł przywozowych dla tańszych fabrykatów zagranicznych. Co w skutkach unicestwiłoby nasz przemysł i postawiło przed widmem głodu masy wiejskie, dla których tani chleb nie mniej jest ważny, jak dla robotnika.

W tym porównaniu zawiera się odpowiedź na dręczące pytanie: dlaczego jest taka straszliwa dysproporcja pomiędzy naszym majątkiem narodowym a angielskim, pomiędzy naszym dochodem społecznym i naszą stopą życiową a w Anglii?

My bylibyśmy do wojny w swej narodowej postawie wciąż nie związani z cywilizacją techniczną. Dramat chłopski ostatnich lat między wojennych szczególnie nabierał ostrości. Historia i warunki naszego bytowania tłumaczą naszą obojętność, niezrozumienie a nawet obronę przed industrializmem, a równocześnie każdy akt choćby tylko obojętności był tragicznie wymierzonym ciosem przeciwko nam samym, więcej, był wymierzony przeciwko narodowi, któregośmy nie nauczyli kochać i bronić własnym życiem na polach bitew, a nie wiedzieliśmy jak budować, jak umacniać jego suwerenność w czasach pokoju. Rozpiętość przytoczonych liczb, ona zagraża suwerenności. A do zmniejszenia tej rozpiętości niema innej drogi, jak ta przed którą wzdrgał się Niecko, a która nie budzi w żadnym Angliku ani cienia wahania, ani cienia wątpliwości.

*

Stany Zjednoczone prześcignęły Anglię w rozwoju ekonomicznym z dwóch głównych powodów: 1) Wstąpiły na drogę industrializacji o wiele później, nie były dlatego obciążone starą techniką, 2) przez długi okres cierpiały na brak rąk roboczych i wysokie ceny plac, był to dostateczny bodziec w rozwoju kapitalistycznym „do zastosowania bardziej skomplikowanych, doskonalszych maszyn”.

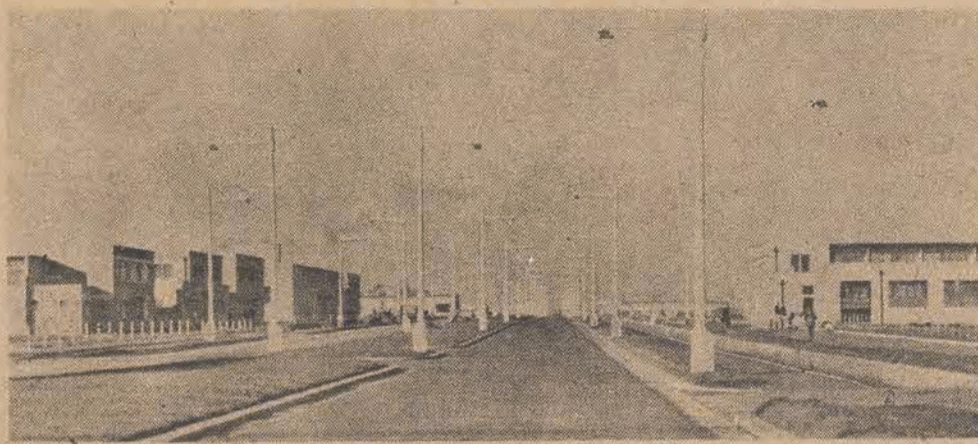
W tej chwili Anglia przechodzi nowy kryzys. Koszta wojny, jako nie najlepszy tym razem dla niej interes — wynoszą około 8 miliardów funtów. Te straty odebrały jej możliwość konkurencyjności ze Stanami w eksporcie kapitałów. Jest konieczny nawrót do handlu samymi towarami, bez torowania sobie dla nich drogi inwestycjami kapitałowymi.

W okresie imperialnym rozbudowała Anglia aparat produkcyjny. Jest on teraz jej ostatnią szansą ale nie nadającą się w pełni wykorzystać. Pojemność gotowego aparatu jest większa od ilości możliwych rąk roboczych. Tak olbrzymi aparat, a w wielu dziedzinach bardzo przestarzały, (kopalnie, fabryki samochodów) nie może być unowocześniony, tzn. przystosowany do mniejszego rynku robotniczego z braku kapitałów inwestycyjnych. Dlatego wiele z cyfr, które mi wliczano, nie będą osiągnięte. We wszystkich fabrykach niedostatek pracowników. W przemyśle węglowym brak 100.000 górników. Ujawnia się społeczno-moralna sprzeczność pomiędzy wianością Anglika dla cywilizacji przemysłowej, a wiernością do nawyków kapitalistycznych. Pierwsza chce produkować, druga każe wybierać pracę, targować się, nie śpieszyć. Ministerstwa i wielkie przedsiębiorstwa ściągają Anglika reklamami. Trafiają do

jego zmysłu interesu. Ale właśnie te reklamy są świadectwem faktycznego stanu nazbyt niskich ofert, aby sam bussines mógł zmobilizować do pracy, do wysiłku w krytycznym niewątpliwie dla Anglii momencie.

Zróbmy, Drogi Przyjacielu, porównawczy bilans. U nas dziedziczymy stan nadmiaru rąk roboczych, ale nie dziedziczymy ustroju kapitalistycznego. Czy będą zatem obowiązki prawa zachowania postępu technicznego? Nie, bo wprawdzie i w ustroju kapitalistycznym wszyscy mogli być zainteresowani postępowaniem technicznym, ale kapitał nie był zainteresowany losem wszystkich. Postęp dokonywał się w granicach interesów garści przedsiębiorców. Nasze zaś reformy wyznaczają planową, uspołecznioną gospodarkę narodową. Granica interesów rozszerzyła się na cały naród. Plan gospodarczy wspiera się na reformach, które unicestwiają możliwość skupienia kapitału w prywatnych rękach do takiej wysokości, jaka zagrażałaby organizowaniu życia gospodarczego w sprzeczności z potrzebami mas narodu, jaka zagrażałaby równomiernemu rozłożeniu dochodu społecznego. Jest nowa w naszej historii sytuacja. Da się ją określić tak: teraz każdy obywatel jest bezpośrednio zainteresowany w powiększeniu majątku narodowego.

Rzeczą najbardziej wymagającą spopularyzowania staje się wiedza o ekonomii narodu. Najgrubsze zagadnienia gospodar-



Coventry, drugorzędne miasto angielskie, częściowo zniszczone wskutek bombardowania, będzie odbudowane za sumę równą budżetowi państwa polskiego. Tak wyglądają peryferia — nawet nie przedmieście, a droga dojazdowa, wiodąca ze wsi, — a więc część miasta stosunkowo zaniedbana.

cze: eksport, import, hierarchia w produkcji przemysłowej, drogi rolnictwa, osiągnięcia spółdzielczości, powinny być tak trwale ulokowane w świadomości jak elementarz. Wiem że byś mi w tym miejscu przerwał. Bo zapominam o różnicy: w Anglii od stu lat wszyscy myślą kategoriami cywilizacji przemysłowej, my stajemy dopiero na jej progu. Jak rozentuzjzmować młodzież wiejską do informacji takiej np.: Na Ziemiach Odzyskanych w ciągu planu

trzyletniego osiągniemy 70 % nawozów sztucznych. Co to znaczy? Znaczy, że w stosunku do posiadanego okręgu Chorzowskiego (30 %) przybędzie nam nowych 70 %. Czy to jest tylko wiadomość, czy hasło do mobilizacji planowania rolniczego o nowych perspektywach. Czy to jest tylko wiadomość, że pod Szczecinem uruchamiamy fabrykę benzyny syntetycznej, która przy przeróbce 3 milionów ton węgla rocznie (a wydobywamy w tym roku 46

milionów ton) da 600 tysięcy ton benzyny, co pokryje z nadwyżką nasze zapotrzebowania. Czy ta wiadomość nie pozostaje w związku z życiem spółdzielczości wiejskiej?

Widzisz, sam się zapalasz i z przeczenia przechodzisz do... propagandy postępu technicznego. Oczywiście to jest nasz największy problem. W ustroju kapitalistycznym niepostrzeżenie prywatne kapitały włączały społeczeństwo w obrót industrializacji niezależnie od jego zgody czy nie. Wrastało ono nieświadomie. Przed nami staje dziś obowiązek świadomego wtargnięcia w cywilizację techniczną. Wtargnąć musi cały naród. Bo tylko w tym postępie jedyna szansa naszego dobrobytu i naszej suwerenności.

Jest więc tak, że nie możemy czekać na wpływ samego działania procesów gospodarczych, musimy nowym wychowaniem do nich zbliżać. A wiadomości, które podałeś tytułem przykładu, jeśli dojdą do terenu, rozgrzane zapalem, nie bój się, będzie odzew nie uczniów, ale działaczy, którzy w perspektywie naszych generalnych możliwości gospodarczych podejmą nowe prace lokalne, i rozwiną się takie formy samorządu gospodarczego, jakich stara tradycja nie przewidywała. Nie separujące się i prowincjonalnie zamykające, przeciwnie, będą się włączać w procesy ogólnokrajowe, będą dynamizować centralną odbudowę aparatu produkcyjnego. Przecież Ty to robisz!

Jan Aleksander Król.

Stanisław Pięta

PARTYZANT I DZIEWCZYNA *)

CZEŚĆ V.

I.

Niemcy utrzymali się na Sanie pod Sandomierzem — i front, który giął się, łamał, jak rzeka płynął co dnia, nagle runął. Przyszły nad Wisłę junkrów pułki świeże i bitwa w huk, w tętnie wstała krwawa od ognia.

Sędziów żył z godzinę w wolności, lecz wieczór naraz runęły nań pociski, jakby z tysiąca dział bliskich. Pożary poniosły się — płacz, jęk bił... Łuna, jak mara, pelzła. Liście, kwiaty, owoce wędły w dymie śliskim.

Rosjan było nie wielu, cofnęli się zaraz w lasy — i oto Niemcy nazajutrz wracali znowu z rana. Szła piechota, jechały czołgi, we wsi jak psze pasy wily się zrudziały drogi, szkielety domów raną zdawały się być oczom. Tu człowiek, tam pies spoczywa z rozdartym brzuchem i muchy jedzą czerniałe mięso. Przed kościołem leżała wciąż dziewczyna jeszcze żywa. Omijały ją konie Niemców, krwi ślady z łękiem weszac.

II.

Front przesunął się pięć kilometrów w głąb czarnych lasów. Nacichło — i naród mógł policzyć swoich zabitych i rannych. Zginął Stach Kania, Kozdęba, Piotr Wolasów. Dziadkowi Cibie urwało dłoń, zraniło twarz.

III.

W ów wieczór zginęła i matka Marysi, Dorota stara. Był to pierwszy sierpnia, pomrok niebieski, cudny. Marysia kryła się, bo pociski biegły z łoskotem czerwone. Wybuch raz po raz na skraju wsi dudnił. Matka spojrzała w niebo, lecz zdjęło ją przerażenie i poczęła biec, opędzając się w grozie rękami. Leciła, leciła i od kuli upadła na ziemię. Ach, zdrzeźni pod jej rozdzierającymi krzykami.

Gdy przyszedł ku niej, zerwawszy się z ziemi — żyła jeszcze i majaczyła o synu, co w Anglii walczył pono. Jednak jej oczy spelznie zastygły szklisko na wietrze, tak jakby wciąż dziwiły się podniebnym, strasznym lotom.

IV.

Na trzeci dzień Marysia i ojciec załadowali na wóz trumnę i wśród słońca powlekli się przed siebie. Nikt nie szedł za Zmarłą, tedy i wiatr smutnie się żalił i monotonna muzyka ulatywał po niebie. Wykopali grób i na spoczynek złożyli ciało. Potem zaś w ciszy jeli trumnę przysypywać piaskiem. Pracowali tak ofiarnie może z godzinę całą. Wrony, czując trupa, kołowały nad nimi z wrzaskiem.

V.

Cztery dni trwała bitwa w lasach, lecz naraz znów czołgi rosyjskie wjechały na pola sędziowskie, z nimi gromadka wojska szara. I teraz bój wybuchł nad rzeczką, gdzie topole rosły, a tor kolejowy skręcał na zachód. Już w nocy część wsi z dworem zdobyli Rosjanie. Jednak Niemcy utrzymali wzgórze i trochę domów przy nim. Nie uległ ten stan dwa dni zmianie.

VI.

Dom Kowalskich i rzeczka były w rosyjskich rękach. Posypał się na nie ogień piekielny dział wszelkiego kalibru. Z jabłoni, śliw niskich zostały tylko widma w dali. Łan lucerny, który rósł obok, poryty był, jak po ziemi trzęsieniu. Niemcy szli do ataku. Kwik, rzenie koni słycać było. Czołgi łbami ciężkimi wychodziły, tłamsząc plac ludzki i jęczenie. W świetle księżycy bój wyglądał tak upiornie. Zdawało się, że pola płaczą, las — nie ludzie. Gwiazdy spadały, urągając tylko wojnie. Trawy, kwiaty, liście zdołały wszędzie zrudzieć.

*) Patrz początek: „Wieś” Nr Nr 41 (69), 42 (70), 43 (71).

VII.

Domostwo Marysi stało jeszcze bez ciosu. Wioska wyludniła się, ludzie w lasy uszli. W piwnicy ciemnej Marysia leżała bosa, nasłuchując grzmotu strzałów w wilgotnej głuszy. Ojciec jej wciąż jeszcze chodził po dworze. Nawet głowy nie schylał, choć świstwały kule. Lis Bartek też na obejściu o każdej porze coś robił — niósł wodę, poprawiał pszczołom ule. Niekiedy, gdy nacichało, było tak dziwnie. Żołnierze rosyjscy grali na harmonii, gruszki jedli, żartowali z siebie, śmiejąc się silnie. Kot zbiegł nagle w pawim oku z grządek pietruszki...

VIII.

Piątego sierpnia Niemcy przypuścili atak najcięższy z wzgórze. Kilkanaście minut bily działa i naraz w wioskę wjechała piechota. Zmierzył był dopiero i światło jeszcze się wilo...

Już pierwsze strzały były celne, padły w stajnię, tuż obok, gdzie trwała, ledwie dysząc, Marysia. Kowalski, widząc pożar, wstał, płacząc błagalnie i wybiegł. W płomieniach chwiała się jego łysa głowa. Chciał ratować sprzęty, wlatywał w ogień... Nie powrócił. Ściany i dach runęły z trzaskiem — i tak szybko otwarło się pole w noc wrogie. Wieś, rzeczka płonęły. Ku nim szły cienie płaskie.

IX.

Marysia krzyknęła i za ojcem skoczyła ku stajni. Wybuch już w pierwszej chwili pocisku na ścieżkę ją rzucił. Ziemia ją w lot okryła i przed śmiercią uratowała, jak kołyską. Widziała w mroku niebo nad sobą czerwone, ludzi mówiących. Nie wiedziała, co się dzieje z nią jednak. Sanitariusze wzięli zemdłone ciało jej i ponieśli je przez dymu knieje...

EPILOG.

I.

Słońce świeciło czyste i gałąź jabłoni zaglądała przez okno. Marysia w tę chwilę uniosła wzrok i nie słysząc wybuchów broni, powoli przypomniała sobie dni zawile... W oknie stała sanitariuszka i kiwała ręką żołnierzom, co wsią spaloną jechali. Kudłate konie rżały, chmurka przeszła biała. Gęsi płynęły po strumieniu w siwej dali.

II.

— Dziecko!... — szepnęła Marysia. Sanitariuszka w tej chwili klasnęła w dłoń i śmiejąc się jeszcze, przybiegła, kolebkę przysunęła do łóżka. Spało tam dziecko — u poduszki wzdychał świerszczyk. Czując lzy, ściśnięcie serca nagle, Marysia słuchała jak nie o sobie opowiadania. Mówiono jej, że uszła śmierci, że bój za Wisłą już jest. Ona nie mogła strzymać w gardle łkania...

III.

— Cóż — rodzice moi nie żyją, dom spalony — ja sama na świecie! — zapłakała gwałtownie. — Kto wychowa tę dziewczynę? U szyb zastony sanitariuszka uchyliła wtem i słowy łamanymi wzywała kogoś blisko na pole. — A to przecież wasz mąż jest tutaj!... Co wy chcecie? Marysia nie słyszała już słów w ostrym bólu, krzyknęła, straciła pamięć nagle o świecie...

IV.

Gdy się ocknęła, Jaś stał, patrząc w nią uważnie. Na twarzy chudej, pełnej bruzd znać było mękę przebytą. Serce zabiło w niej lekko, raźnie. Szepcząc o dziecku, uniosła ku niemu rękę...

KONIEC.

Józef Pogan

Inspekcja

(Legenda o reformie rolnej-II)

Gdy Pon Bóg wydał dekret o reformie rolnej, magnaci i ich obrońcy zaczęli straszyć narzykać i lamyntować, że to wielko niesprawiedliwość na ziemi się stanie. Więc zjeżdżali się razem, radzili, a chłopów balaucili różnymi plotkami. I niektórzy chłopci naprowdę baranieli. — Jużci, może to i niesprawiedliwe — dumali — bo któż to widział, żeby tak nieprawie krzywdzić właścicieli? Jużci, jużci... Teraz panom od-blero, a późni może i nom i Bóg wie co z tego może być? Nawet i księżo to potę-piajo...

Narzykania magnatów usłyszał Pon Bóg. Znowu zawołał świętygo Izzydora i godo mu: — Słysz jak na ziemi rwetes? Pano-wie strasnie krzyco, że im się krzywda dzie-je. Słysz głosy, że chłopci mają doś ziemi, ino się nie umio tak dobrze gospodarzyć jak panowie i nie wycyrpujo tyła z ziemi, co oni. Idź no jesse roz na ziemi i zba-doj, co to ci chłopci mają? Byłes już roz we dworze, zbadoleś sprawe między dwor-rym i służbą, a teraz zbados między dwor-rami i rolnikami. Obyjdz bądź ktero oko-lice. Ino w mlg, bo cas uplywo.

Święty Izzydor pośpieszył na ziemi. Trafil w som roz na dwór hrabiego Potockiego w Krzeszowicach. Obeźrol pałac, wszystkie dobra w tym dworze i posed dali ku rzyce Rudawie. Tam se wsiod do łódki, plynle se ku Wiśle i ozglado sie wokoto.

— Piekno, urodzajno nizina jakoby raj-ski ogród — dziwi sie święty. — Tu cheba ludzimo dobrze. Tu kto by narzykoł na biede, to by już śmiertelny miol grzych.

Zatrzymał łódke i wyloz na brzyg, by sie lepi tymu przypatrzyc. Wysed na wzgó-rek i zdebioł — — — Bo w ty nizinie, jak lno okiem siegnąć — — — dwory... same dwory... Osady chłopskie po prostu ginyły w mroku ozlozystyk lip w okoto pańskich pałaców.

Święty zacon licyć: Krzeszowice, Siedlec, Pisary, Rudawa, Zabierzów, Balice, Kobylany, Więckowice, Karniowice, Bołchowice, Brzezcie, Ujazd, Tomaszowice, Modlnica, Wierzchowie i inne. Wszystkie, wszystko pańskie...

Pomędzy dworskimi obsarami, na pa-górkach cy na ubocu wily sie wąskie pa-symka chłopskich poletek. Niktóre syrse, ale w większości — to kiesecki, ze ani tam wozym nie zawrócił, ani krowy na łańcu-chu nie uwiózol, ani bronami w poprzek nie zawlók. Ba, nawet pono pies jakby sie polozył w poprzek na takim poletku, to ogon miolby za miedzą sąsiada.

Święty zaraz sie domyślol, że tu ludzle muso dorobiac na skromny żywot. Jedni w Krakowie we fabrykach, inni na kolek, ale nojwięcy to juz ludziska na tyk syro-kik pańskich polach sie mordowali. Za osiemdziesiąt, a nawet za pięćdziesiąt grosy dziennie wsiąkoł chłopski pot w pańskie ziemie.

Święty rusył naprzód przez te pańskie obsary. Przy szosie spotkoł ludzi z innyk, llichsyk okolic co sli do Krakowa. Boso biedoki lazo... na zgarbionyk plecak dźwi-gajo ciężkie kosyki z borówkami... z osta-tnią kwortą mlyka... z uchowanym kurec-clem... z kwiotkami... z mietłami... z chol-ną... Co kto moze, dźwigo do miasta na jakiś gros na sól... na zopółki... na podotek...

A wszyscy zadrośnie spoglądajo zam-glonymi oczami na te wokoto pańskie do-bra. Z pierśi biedoków unoso się głębokie westchnienia. Bo wokoto szosy po ląkał, kaj ino spojryć, skubio trowe stada laci-nyk, upasionyk krów dworskik.

— Boże, Boże! tyła tu krów, a biedny cłek to nawet jedny ni mo na cym ucho-wać...! — powtarzajo ludziska do siebie z ogromnym bólym w sercaku.—Co tu krów... mlyka... masła... a biedok cęsto ino broda-te kozisko doi...

Święty pokidwał se głową i posed ku Ko-bylanom. Lezie se pomału, dumo i ani sie nie spostrzyg, ze wsed na prywatno dwor-sko drogę. Dopiero głos dziedzicki zbudził go z ty zadumy.

— Halo! halo! tu nie publiczna droga! Tędy nie wolno chodzieć! Wróciec natych-miast!

Psiska zawarczaly groźnie, więc święty wrócił sie i septo se som do siebie:

— Aha, toś ty, jedzo, zastrzeliyla swy-go męża, artystę malarza za to, że kochol sie w śtuce, a fernali i robotników nie gnębil tak jak ty.

Od Kobylan Święty posed ku Karniowi-

com. Tam slostra dziedzica chodzi kole dworu. Obie ręce w jedwabnyk rękawic-kak ozlozyla, żeby jo ludzle po nik cało-wali. No i całowali jo wszyscy: starzy, młodzi, chłopci i baby, bo to przecie „Ja-nie pant dziedzicka”.

Święty splunyl pogardliwie na tako pań-sko pyche i udoł sie w strone lasu. Tam uźrol jakiegoś chudygo, obstrzępanego chło-pa, co zbierol grzyby. Ale zaledwie poru znoloz, a tu leśnicy nadchodzi i poscul na nigo psy. Złapały go, skąsaly, okropnie, a leśnicy jesse poprawil mu lagą. Lezol bez dusy pore godzin, dopiero go ludzle zo-bocyli, przyjechali wozym i zawiezli do dochtora.

Z Karniowic święty Izzydor posed znowu pod Kraków, obsed wszystkie dwory, wró-cil sie i zased do Wierzchowia. Tam sie dopiero przekonol jacy to niktórzy pano-wie. Toli dziedzic tacy do dworu bil bez lito-ści jakiegoś chłopca. Bil, na śmierć bil. Lu-dzle sie przyglądali, ale sie boli bronieć, bo tyn dziedzic postarzeli by zaroz jakby sie kto do nigo przystawil.

Święty otrząsnyl proch z nóg i pozegnoł urodzajno, podkrakowsko nizine. Posed przez Bębło ku Jerzmanowicom. Tam przy krakowskim gościńcu wsed na chwilkę do pamiątkowy kaplicy, kaj to król Jan So-bieski sluchol Msy Święty, gdy ze swymi wojownicymi hufcami dązyl na obrone Wiednia. W kaplicy święty pomodlył sie troche i posed do środka wsi, wyloz se na „Dębowa” Góre” i ozglada sie po oko-licy.

Cudnie, prześlicnie w okoto. Od północ-no - zachodu podkrakowsko nizine zamy-kało wloski: Bębło, Kawtory, Będkowice i Szklary. Tu juz zaczynajo sie starcyste pa-górki, gesto najezone styracymi skałami. Odjad juz w strone Olkusza rikaj ni ma ani jednygo dworu. Na tyk pagórzystyk i skalistyk ziemlak gospodarujo sami chłopci.

Seweryn Skulski

Gorzkie prawdy

Zaczelo się od tego, że Pogan rzekomo brudzi w swoje gniazdo, a Błeniek chciał-by, aby naszego chłopca i wleś przedstawiać w świetle, w jakim nie jest. Urodzilem się na wsi, żyłem na wsi do szesnastego roku życia, powędrowałem w świat, potem po 26 latach znów powróciłem na wieś i po prze-szło ćwierć wieku jakie zmiany zastałem na mojej rodzonej wsi?

Dawniej dla syna ojciec był ojcem, dziś nazywa się stary. Dawniej córka szła na za-bawę czy tak zwaną muzykę tylko za po-zwoleniem rodziców, dziś nie tylko na za-bawę, ale co dni kilka wychodzi wieczora-mi, przychodzi o północy i później i o ża-dne zezwolenie rodziców nie pyta a gdyby ją matka zapytała, gdzie była, matkę skar-ci. Dawniej dorosły mężczyzna, rozmawia-jąc z kimś bez różnicy czy miał przed sobą podrostka czy starszego, gdy kurzył papie-rosa, wyrwał go z ust i nogami przydeptał. Dziś podrostek lat czternaście całkiem normalnie z postawą i miną dorosłego mężczyzny podchodzi do mnie 55 lat liczą-cego i chce przypalić, a ja nie wiem w ta-kim razie co zrobić, samemu sobie dać po pysku czy smarkaczowi, ale widzę, że jesz-cze starsi ode mnie dają mu przypalać a często i zakręcić. Dawniej wódkę pito w mojej wsi tylko przy nadzwyczajnych oka-żach — dziś pije się, aby pić a pić nie wie-dząc nawet co się pije. Szesnastoletni chło-piec idzie na muzykę z butelką w kieszeni, przez całe noce w domu go nie ma, ale oj-ca to wcale nie interesuje co robi i gdzie chodzi.

Co więcej się zmieniło. Chusteczki dziew-czatom zastąpiły berety i kapelusze. Kawalerzy noszą krawaty i kamusze. Zostawiłem na wsi błoto, zastałem bruk. Wleś zostawi-łem bez żadnej organizacji społecznej, za-stawiłem straż ogniolwą i orkiestrę choć do dziś jak jednych tak i drugich prawie ca-łym i jedynym zajęciem jest urządzenie za-baw z wielką ilością bimbura, bo inaczej na cel społeczny dochodu nie będzie.

Gdy wieś opuszczałem przed ćwierć wie-kiem, było na wsi cztery gazety, te domy do których gazety przychodziły, stały się prawie świetlicami. Szczególnie w ziemie wieczorami schodzili się do nich sąsiedzi a ktoś na głos czytał. Gdy się na wsi jakaś książka znalazła, wędrowała przez całą wieś. Jeżeli przez wieś wędrował tak zwany

Święty przyglądo sie pilnie ich osadom i procy. Pod pagórkami i skałami widzi ozruczone w nieładzie, niby kurniki — chatki chłopskie. W Jerzmanowicach, w Będkowicach, w Szklarach, w Raclawicach i Czubrowicach ludzle prawie na cworo-kak cołgają sie w pole. A jak pracujo tam ciężko, żeby nad nimi nawet ptok zapła-koł. Tu chłopina wlezie w pole moze dwle kupki gnoju. Wywijo batym nad wychu-dzonymi skapskami, krzyczy na nie, a one roz po roz upodajo na kolana; tam znowu inny chłop zwozi tockami kupe kamieni co jo powódz z góry naniesła na zorone stajonko i zasypuje nimi na innym stajon-ku ogromny rów tyk powodzią wyrwany:

— Pieknie tu i uroco lo miescan i tury-stów — myśli se Święty — ale lo chłopów zakłeto dziura.

Święty Izzydor zloz z Dębowej Góry i po-sed w strone Olkusza. Tam juz nie uźrol takich gór ani skał, ale za to lity piosek. Witaradów, Osiek, Zedzman, Siniczno, Rabszyn, Rodaki i wiele, wiele innyk wiosiek — piochy, same piochy... A na tyk pioskak nikoj ni ma dworu, ino same chłopskie osady. Tam dopiero nędza, ze pozol sie Boże! Chatki nizitkie, ze na-wet mały człowiek musi sie schylać we drzwiak przy wejściu. Cienkie ściany cha-tek lo ochrony przed zimnym ogacone igliwem.

Po piascystyk ugorak cy wśród jałowco-wygo lasu skubio sceciniasio trawe ubabra-ne w gnoju krówska, a najczęściej pobekujo bezrasowe owce.

Święty przyglądo sie procy ludzki. Tu ja-koś babina grabi pod sosynkami igliwie, tam zaś wycino chłop motyką wrzos na ściółke. Kajdzi zaś po piascystym poletku drewniano brone ciągnie bycek. Dwuletni abo moze nawet i starsy, ale jakbyś go, cteku, chycił za ogon, to byś go o roz na plecy zarzucił.

Nie dziwnygo — myśli se Święty — bo wielez razy to bydle musi o głodzie ciągnąć naładowany wóz ze słomą na pa-sze sobie z podkrakowskich dworów. Cier-pi tu nie ino człowiek, ale i bydle. Chłop orze nim i nuci w głębokim smutku gorz-ko, przysłowiowo piosynke:

„Oj, liche to, liche, te piascyste kraje,
Korzec wsiejes, kope zbterzes,
Kopa korzec daje”.

Spod Olkusza święty Izzydor wrócił sie i posed w strone Ojcowa. Zażrol tam do Groty Łokietka, obsed tyz zomek i stam-tąd posed na wschód. Przystanył przed pałacym w Smardzowicach, bo go ogrom-nie zdziwil numer dworu: „22 dwór Czar-toryskich”.

Święty spotkoł jakiegoś pańskiego pachol-ka i objawto mu swoje zdziwienie. A tam-tyń odrzek dumnie: — Człowieku, to do-ptero cząstka dworów Czartoryskich.

Święty westchnął głęboko i posed dał. Ozglądo sie wokoto po urodzajny okolicy. Ziemia tako sama jak w podkrakowski ni-zinie. Lec na tyk ziemlak znowu... dwór przy dworze... Mało ktero wloska osiero-cono bez pana. Grębynice, Cianowice, Smardzowice, Czajowice, Januszowice, Mi-noga, Ściborzycy, Owczary i wiele, wiele innyk. Wszędy kaj nojlepsze polacie ziemi, ozkracyli sie magnaci i cyrpio z ni skarby.

Spod Miechowa święty Izzydor udoł sie ku Wiśle. Wsiod se do łódki i poplynyl w kierunku Krakowa. Tam se jesse ozrol Wa-wel, kościół Panny Marii, Sukiennice, Flor-iańsko brame i posed do nieba.

Pon Bóg go sie zaroz pyto, co zbadol na ziemi. Święty ozlozył przed Nim naryso-wano mape okolicy i różne zdjecia foto-graficzne z grubymi panami, z pobitymi chłopami, z bosą biedotą uginajaco sie pod ciezarami kosyków i mietel na ple-cak... Z potrząskanymi wozami na pagó-rzyszyk polak... Z chudym byckiem ciągną-cym drewniano brone po piosku...

Pon Bóg pooglądol wszystko, podumol se nad tym i wyrzek:

— Od dzisiejsygo dnia poprzednio wyda-ny przeze mnie dekret o reformie rolny wchodzil w ZYCIE.

tu „obraźnik” co nosil obrazy świętych i książki z kalendářami, to zawsze coś sprze-dał. Ubiegłego roku sprowadzilem cztery kalendarze Związku Samopomocy Chłopskiej, nie sprzedałem ani jednego. Oprócz księdza, nauczyciela i mnle, nikt gazety nie prenumeruje. Jest niby świetlica, zarząd gminy nadsyła kilka gazet, ale nikt ich nie czyta, bo w świetlicy pustki, w miejscowej restauracji, gdzie do zjedzenia nie ma nic a do wypicia zawsze — każdego wieczoru do późna w nocy gwarno i ludno.

Kłamałbym, gdybym napisal, że wcale gazet nie kupują. A jakże, kupują przy dniu targowym w Lipnie w poniedziałek i we czwartek. Kupi, rzuci na wóz pod nogi, lub zemnie i do kieszeni włoży, ale już w drodze do domu drze na papierosy.

Ja w oczach moich bracl chłopów sąsia-dów jestem nawet głupi bo opłacam „Wieś”, „Chłopi”, „Chłopską Gospodarkę”, „Chłopską Droge”, „Chłopską Prawde”, „Przy-jaźń”, „Życie i Wiedzę”, „Głos Pracy”, „Barykade Wolności”, „Trybunę Wolno-ści”, „Wolność”, „Poradnik Oświatowy”, „Tydzień”, „Żołnierz Polski” i „Głos Lu-du”. Poza tym z Ameryki przychodzi mi „Gwiazda Polarna” i „Głos Ludowy”.

Do powyższego jeszcze muszę dodać „No-wę Epokę”, gdyż zapomniale. Ponadto kupilem sobie „Ziemie Piastów”, „Ziemie Jagiellonów”, piękne dzieło wydawnictwa Instytutu Zachodniego.

Ja jestem nie nadzwyczajnego, chłop jak i moi sąsiedzi, pracując codziennie na swoich piętnastu morgach, tylko że do tej „restauracji” wcale nie chodzę i mądrym się nie nazywam, tylko że moja potrzeba duchowa wymaga literatury i widzę to, co-dziennie w życiu i w sprawach, że dlatego moi bracia w stosunkach ze sąsiadami, w radzeniu sobie w pracy, mowie, żalu i za-bawie są biedni, bardzo biedni dlatego, że czwartej chociaż części tych pism nie mają, którą ja posiadam i wcale nie czytają.

Duński, szwedzki, amerykański „chłop” gdy wiecie obornik na pole siedzi na nim i gazetę czyta. On wie co mu daje dochód a co się nie opłaca. W mojej wsi moi są-siedzi wszystko robią bez ołowka, bo tak robil ich ojciec, do kościoła idą z naloże-nia. W kościele szeroko gęby otwierają gdy ksiądz z ambony powiada. Nie kłamcie,

nie oszukujcie, nie upijajcie, życie w zgo-dzie sąsiedzkiej, nie kłóćcie się i nie wyzy-wajcie i fałszywie nie przysięgajcie. Po nie-szporach spotyka się kum z kumem. Wi-dzieli się może mlesiac temu, ale w przy-witaczce wołają — sto lat jakem was kumot-rze widział. Idą do restauracji a wieczorem każdy w swoją stronę wraca przy pomocy płotu a jak płotu zabraknie, jak nieboskie stworzenie na czworakach.

Gdy odnajdzie jakąś chorobę w koniu swoim, sprzedaje go, ale prawdę zatai, choć konia sprzedaje taktemu Polakowi i kato-likowi jak i on. Różnym kłamstwom, buj-dom i agitacji wstecznej nadstawiają uszu i dalej językami te prawdziwe „telegramy” noszą. Związek Samopomocy Chłopskiej, jakaś spółdzielnia, świetlica to próby skoł-chozowania naszej wsi — popierać nie trze-ba. Jakiś przyklejony plakat w naszej wsi, czy to jakiejś organizacji politycznej, czy gospodarczo-kulturalnej, lub z chęcią zor-ganizowania gromady dla dobra gromady lub w celu zorganizowania młodzieży, taki plakat wisi tylko do zmroku. Jutro wi-dzicie go podartego w błocie.

Nie znaczy to, że moja wieś dzika. O nie, Młodzież i starzi ubierają się przyzwoicie. Mówią sobie dzień dobry, nie uchylając czapki. Podajemy sobie ręce, dziś mamy elektrykę w domach a co kilka domów ra-dio gada na głos. Ksiądz i nauczyciel mają wielkie poszanowanie. Zamożniejsi noszą się z „pańska” a poważecznie w tytule je-steśmy — proszę pana i panią. Słowem wy-glądamy ładnie i gdyby ktoś dolara w kie-szeni miał a cała wieś o tem wiedziała, mo-że u nas bez obawy nocować.

Jedno nas gubi i jest kulą u nogi — je-steśmy już mądrzy i doskonali i dlatego tak biedni. Wleś moja jak i wiele innych tu wsi zakonserwowało się w tej niby „dosko-nalności chłopskiej”.

Jestem chłopem a wszyscy inni winni mi cześć oddawać i szanować bom chłopem i więcej nam nie potrzeba. To właśnie u nas chłopów i w mojej wsi jest złem wiel-kim, którego się strzec należy.

Nie zawijajmy prawdy w bawełnę, o so-bie, wsi i chłopach niech chłopci piszą praw-dę, choć w oczy kole, ale sercu lżej i po rozum do głowy prędzej tu wieś przyjdzie. Bo bajka jeszcze jest, że „chłop potęgą jest i basta”.

Aniela Gut Stapińska

Z prawdziwego zdarzenia

ilustr. Stanisław Cieloch

Jan Bolesław Ożóg

Ścigany

We dworze państwa U. od wczesnego ranka rozpoczęło się gorączkowe przygotowanie do dzisiejszego a tak uroczystego dorocznego polowania. Pani U. wyciągnęła z kosza kunsztowną porcelanę, ustawiła kryształ w miejscu najbardziej widocznym, zmieniła firanki, wdziała najelegantszą toaletę francuską i żywo doprawiała mieszankę kawy upominając służbę żeby broń Boże nie przypaliła śmietanki.

Kilkakrotnie zwracała uwagę kelnerowi i przy tym nie szczędziła rad i wskazówek co do przyprawy bigosu. Bigos myśliwski to wyraz pańskości nie mówiąc o tradycji przestrzeganej od wieków przez dwory szlacheckie, trzeba więc dbać o jego oryginalność w doborze artykułów, a nade wszystko nie trzeba zapomnieć o trzech liściach bobkowych.

Jednocześnie pan U. konferował w sali myśliwskiej z leśnymi, gajowymi i gońcami, omawiając tereny na dzisiejszy dzień polowania, troszcząc się o najdrobniejszy szczegół, aby polowanie nabrało pańskiej świetności, zręczności i nader dobrej organizacji.

Po odprawie dworskiej myśliwskiej zalogi dał znak do odejścia, zostawiając na małą rozmowę starego Gajdę, którego we wsi obwołano królem polowania i wirtuozem w sztuce myśliwskiej z racji pewnego wyczynu, a mianowicie stary ten poczwłec idąc raz z dubeltówką na ramieniu — prawdopodobnie z kłusownictwa — zobaczył we wsi lasa wśród kur i wzywając ratunku gospodynię. Nie wiele myśląc wypadł z dubeltówką kładąc trupem lasa i wszystkie kury. Gospodyni przestraszyła się nie czyniąc jej żadnej przykrości w zagrożonej kondygnacji jej personsy. Od tego pamiętnego czynu stary Gajdera w sprawach myśliwskich miał pierwsze i ostatnie słowo. Wśród myśliwych był honorowany a p. U. nazywał go starym zacnym przyjaciele bez którego na polowanie nigdy nie wyruszył.

Dziś p. U. nie posiadał się z radości widząc Gajdę w dobrej myśliwskiej formie.

— Polujemy jak zawsze — rzekł mrużąc porozumiewawczo prawym okiem.

— Ono ta jakosi będzie, coży nie? — dziarsko odrzekł Gajdera. — Pamiętacie — zając stanowisko z prawej strony obok mnie. — Bocem o tym zawdy tak jako w polcerzu jest Jamen! — zapewnił Gajdera.

Tymczasem na dziedzińcu dworski wjeżdżały dymiące parą i paskające ochotnie ogniście rumaki wiozące dostojnych gości z powiatu i okolic, wśród zaproszonych nie brakło najlepszych myśliwych, począwszy od starosty a skończywszy na starym Gajderze. Przyjechali również panowie z sąsiednich dworów. Doroczne wielkie polowanie.

Ruch, krzyk, nawoływania, myśliwski pośpiech i las.

Las okryty nieskalaną śnieżną bielą, w promieniach wschodzącego słońca walił w oczy blaskiem białych ogni, groził potęgą mrozu, a zwarte drzewa pancernem śnieżnym zamykały dościsłe do jego wnętrza.

Powierzchnia leżącego śniegu na polanach była równa i niesłychanie biała. Wokoło nie było śladu ludzkiego istnienia. Natura jak gdyby pragnęła samotności.

Myśliwi zeabsorbowani polowaniem nie zwracali uwagi na cud natury i majestaty czną, prawie że groźną ciążę zamarłego lasu. Brocząc w śniegu na zboczach góry obstawili pozycje według przepisów myśliwskich, zapuścili psy do lasu, rozestali gońców z trąbami i rozpoczęli zabawę niemiłą dla mieszkańców leśnych.

P. U. znając tajemnice terenów, zajął najlepsze stanowisko przy wylocie obsadzone

go kotła, obok nieodstępny towarzysz Gajdera.

— No cóż stary przyjacielu uda się polowanie? — spytał p. U. Gajdery, kontrolując starą odziedziczoną po przodkach dubeltówkę.

— Wto wie cy ono ta będzie tak jako wyście wcieli? — mruknął Gajdera.

— Dlaczego? — spytał zaniepokojony p. U.

— No bo tego rumu w tej kawie było mało, prawie teleno kielo jest omasty we średu popielcowom. Ono ta na polowanie trza mieć w sobie krew ozgrzanom, to sie ta pote strzelo, coży nie! — mścił się Gajdera za ryzykowne skąpstwo p. U.

— Ależ zapewniam was przyjacielu — starał się zło naprawić p. P. — Jeśli uda się polowanie, to wieczorem bigos ale jaki bigos! no a w rumle to was chyba utopię.

— Trzaby to helo rumu coży ja sie w nim utopił — nie skączył bo w tej chwili krąjąc racicami cudną biel śnieżną wypadł z lasu rozjuszony olbrzym: dzik waląc prosto na p. U.

— Jezus Mar'a — krzyknął — ratujcie Gajdera.



— Już jest ono po ratunku, leży han! — rzekł Gajdera, śmiejąc się radośnie do swojej dubeltówki — ona ta psioekw niesie!

P. U. patrzył na bryzgającego gorącą krwią dzika starając się przy tym ukryć swoje niesłychane zdenerwowanie — ano przerażenie się trochę, zresztą nic w tym dziwnego, przecież to nie pora na dziki, a ten sobie ni z tego ni zowego wypadł na mnie!

— Żeć ta nic w tem zmyślnego ni mas, bo las lo dzików — mówił Gajdera — bo kieby tak wypad na wos w salonie to jaby sie som zacudował.

— Ano prawda, rację macie — mrucał zawstydzony p. U. a nagle spytał — słuchajcie jak myślicie, czy to honor zabić dzika?

— Prosem wos pięknie jak lo kogo, bo lo mnie to rzec zwykło, a lo wos honor wieldżany by był, kiedy był świat by się cudował nieustający.

— Słuchajcie, postanowił szybko p. U. macie tu dwieście złotych i milczcie a nade wszystko swojej żonie, ani słowa! Po chwili dodał — kobiety wszystkie lubią plotki.

— Rozumie, rozumie! — mrucał Gajdera, chowając w zanadrze pieniądze i oglądając się w stronę wsi tęskliwie.

P. U. czymprędzej umówionym sygnałem zwołał myśliwych z pobliskich stanowisk oznajmiając uroczystość bohaterskie i nader ciekawe uśmiercenie dzika, a tymczasem?

Tymczasem Gajdera pośpiesznym krokiem szedł drogą do karczmy, zapraszając wszystkich znajomych po drodze na mały poczęstunek.

Zdziwienie zaproszonych nie miało granic. Skąd ta hojność? Skąd te pieniądze? Przecież wszyscy wiedzieli, że Gajdera nigdy groszem nie tracił, to też ucztujący wyraźnie zaniepokojeni pytali o wyjaśnienie

tego tak bardzo miłego zdarzenia. Gajdera milczał dość długo, aż wreszcie po rozgrzaniu kości i języka po cichu każdemu opowiedział co zaszło, prosząc, aby broń Boże to zdarzenie nie doszło do wiadomości jego ślubnej małżonki.

— Wiecie, wiecie — mówił Gajdera — baby jak baby, tako stworzona na to coży pleś naopak, jo zabił dzika, a tako ci przekreć i powie zek zabił maciore, a doresty pon pytali coży nika nikomu nic, to ono jacy ja wom godom.

Zabawa wrzała w szybkim tempie, zaproszeni nie tracili czasu na marne, to też w niespełna kilka godzin pieniądze zostały ulokowane w kieszeni karczmarza. Sytuacja ta chwilowo zaszła myśliwskie czoło starego Gajdery, jednak myśl szczęśliwa na czas zaświtała do jego głowy, podniósł się szybko z ławy i pobiegł do dworu i tam prosił o natychmiastowe widzenie się z p. U. Pani U. przyjęła go wielce zdziwiona, a zarazem zaniepokojona jego przybyciem o tej porze.

— Co się stało — pytała?

— Je nic — rzekł niby obojętnie — trochę ono było źle!

— Boże wielki nieszczęście — szeptała pani stanowiąc się na fotel — czy może ranny?

— E coży ino ze juz nie żyje!

— O Boże wielki! krzychała — mój mąż nie żyje!

— Ze cichoze pani tekoście noremno — mówił spokojnie Gajdera — zej to nie pon was nie żyje ba dzik, bo go trafił w te kie leciot na pana dziedzica.

P. U. odetchnęła z ulgą.

— Nie wiem jak wam mam podziękować?

— Zej ta dziekować nie trza, bo ta z tego ctek nie wyzyje!

— Ach pieniądze to głupstwo, zorientowała się pani i pobiegła szybko do szkatułki, a tymczasem Gajdera podziwiał jej umiejętność zyciową.

— Wicie, wicie żeć ona tu nie tako głupawo jako jo myślał, żeć ona se tu w każdej rzeczy da rade.

Pani U. radośnie wręczyła Gajderze 200 złotych, przy tym zapewniała go o dozgonnej wdzięczności i prosiła gorąco, że gdyby kiedykolwiek był w potrzebie, niech przyjdzie jak do rodzonej matki.

— Matko moja nie belaby tako lekkomyślno coży za bodażco dawala — myślał cicho Gajdera chowając w to samo zanadrze pieniądze i pośpiesznie celował do drzwi.

Biesiadnicy osieroceni nagłym zniknięciem hojnego Gajdery, ulrzawszy go, z krzykiem rzucili się na jego kosmatą pierś i żywo pytali o przyczynę nieobecności.

— Ze kls wom, kazescie bel tak długo? Zej wiecie luto mi sie zawidziało dziedzica i myśle se rzeka będzie som stratny? niekze i pani jego pocierpi kondek, a doresty trza belo jesse co wypic, skoromy sie apokali tak fajnie i młodo.

Około północy brocząc w śniegu szedł Gajdera do domu uśmierzając się jak małe dziecko do błyszczących iskierok śnieżnych i głośno rozprawił sam z sobą o szczęśliwie spędzonym dniu, jednocześnie zachwycał się urokiem nocy księżycowej.

Ono wiecie ślicnie jest na tem świecie, ej wiera, ślicnie. Dzień mi bo był szczęśliwy i noc do znaku ślicno. Ono warce żyć na świecie, ej wiera warce! Baba mi tez będzie rada! Daby chłopom w nocy zawdy rade!

Dobrnawszy do domu rażno zastukał w leno nucąc głośno piosenkę.

Otworze mi otworz kochanecko moja Bo mi sie zwidziała ta gębusia twoja.

Gajdera nie długo czekał na otwarcie drzwi. Kochanecka drzwi otworzyła tak energicznie, aż się Gajdera zachwiał i w tej chwili spadły na niego gęste razy starego mietlika a z ust „kochanecki” płynęła niczym nie dająca się zahamować lawina nieparlamentarnych, obelżywych słów.

— Ty złokrew dziadowsko, tełoś nieszczęsto narobił we wsi. Nie dośe ze chłopcy babom gorki na głowak pozbijali boś tk spili do lmentu, toś jesse we dworze zwady pierońskich narobił. Dziedzic pado, ze to on zabił dzika, a dziedziczka sie przysięgo, ze to twoja sprawa. Ty psioekw jedna zatrachona ka dudki coż wion od dziedziców co? Przesły bez cie za pare godzin i nika z te-

Tętnią poleczki, skaczą walce i drgają lby i nogi w puchach i tęczy grzyw czterdziestu koni...

Ten obraz chcą wam dobyć palce pod wieczór z wymienia harmonii.

Może pod koniec bitw narodów krzyż mi tu młode ramię poda? Pod koniec ten niejedno z was, gdy tyłu wśród dymów nas padnie, wspomni z zegarka cent i pas rzemienny mój u klawiatury. Zaszumią groby, lasy, góry, uskoky sobie i dolina i rybą strumyk stuknie na dnie.

E nie to, mili — cóż za błąd, żem niepodobny snom, a psu? „Dobranoc” podam z kłócią bzu; do „chłopców” niedaleko stąd, pod darnią rdza źre stal kaemu.

Czy nie ja to mówiłem: Hola. Gdzież proste poczucie humoru? Gestapo? Kłedy to cię boli, najlepiej idźże do znachora.

Już nie mruż, biedny chłopcze, powieć i nie pij strachu w dzień i w noc — dobre lekarstwo: kula, nóż, Schmeisser i Colt — i „znachor” kłoc, mój Boże, co za złoty człowiek w czapie z różowym lun i żórz...

Dziś jakże bliska wiosny meta wesolo w krew się wszystką leje. Patrząc, i oto ja, poeta idę z naganem przez miasteczka, ten sam na rynku się tam śmieje gębą umytą w ilustym kubie, — wiedźcież, rękawom dać dwa kolki, a byłby dziad na wróble.

Lecz przecież chyba nowe stada przemitych druhów z pól i wsi, smakując gorzki piasek rdest, który-m zostawił w wierszach moich na cynamonie z bomb i krwi, nie będą się już niepokoić, że idą bez gwiazdy ponad czołem.

Oto jak chleb lamany społem: broń, amunicja, wszystko jest.

Kwiecień, 1942

go hasnu. Ty złoduso jedna! Trza belo pieniądze przynieść do domu belabyk słowa nie pista, a tak posiedź se toroz do rana na polu, bes wiedziot jako trza lo baby mieć serce i poćciwość. Ty bimbacu zatrachony!



Po skończeniu oracji powitalnej wygłoszonej przez małżonkę, Gajdera usłyszał energiczne trzaśnięcie drzwiami przed nosem po czym zapanowała śmiertelna cisza. Zmartwiony i złamany usiadł na progu i zaczął rozmyślać nad prawem Boskim i ludzkim.

— Takom przecie chyba Pan Bóg nie stworzył, boby się wstydzil za taki stwór, ono mo siele w kufie, a w ręcak takie słabe jak wiat. He cteku, zmozes syćko co wces! Palcem podciągnies za cingiel i dzik leży, a tako sceko i na to rady nima. Świat cokolkiem źle zarządzony, a syćko na nase chłopskie nieszczęście.

KAZIMIERZ BRANDYS

MIASTO NIEPOKONANE

OPOWIEŚĆ O WARSZAWIE GROZY I NADZIEI

„Niechaj mnie natchnie to miasto dokładną pamięcią... aby żadne kłamstwo nie wyszło mi spod pióra i nie umniejszało wielkości jego prawy”.

(Z przedmowy autora)

K S I A Ż K A

Jan Kobiela

Marchwiane refleksje

Bodźcem do uwag niżej wypowiedzianych była wystawa spółdzielczości ogrodniczej, którą Łódź może obecnie u siebie oglądać.

Przypuszczam, że wystawa ta to dobry moment do „wyżółdkowania” się nad problemem odżywiania się narodu.

Temat to za „płaski” według pięknoduchów, trudno mu „wkupić” się na łamy piśm społeczno-literackich, leży on poniżej ich godności kulturowych rozważań. Stoją oni na stanowisku, że czas i miejsce lepiej poświęcić dyskusji nad bylejaką sztuką teatralną, żeby ją ratować i „rozrobić” dla niej grunt.

Obserwujemy dziś, że pisma ciągle się obstrzelują nowymi koncepcjami literatury, sztuki, człowieka; mówi się dużo i łatwo o godności ludzkiej, o potrzebie szacunku dla jednostki, zapomina się jednak o tym, co warunkuje sam fakt zaistnienia tych pożądaných właściwości, mianowicie o konieczności zaspokojenia najpierwszych potrzeb ludzkich w ogóle a szczególnie w zakresie odżywiania.

Pisma przeciwnych obozów prowadzą zażarte boje o duszę ludzką, o świadomość dzisiejszego człowieka; w tych bojach znów się zapoznaje jednak jego substancję biologiczną. W walce o taki czy inny typ kultury często zapomina się o tym, co składa się na istnienie człowieka biologicznego, na którym możemy dopiero bazować człowieka kultury.

Pretensje moje mogą wydać się komuś śmieszne i nie na miejscu. No bo jakżeż! Cóż tu pisarze mają do roboty, niech ta sprawa zostanie w rękach fachowców. Publicyści w swoich górnych rozważaniach i pryncypialnych dyskusjach nie mogą przecież zejść na teren, gdzie tak zwany prosty człowiek pora się z pytaniem, na które mu trudno znaleźć odpowiedź.

„STWIERDZENIA BANALNE”

Zdolność narodu do wysiłku, jego prężność produkcyjna, gospodarcza czy kulturalna zależna jest od tego, jak się on odżywia. Asceta czy zagłodzony na pewno nie będzie w stanie zdobyć się na wydajną pracę na dłuższy dystans.

Rozumny stosunek do odżywiania się to także wskaźnik cywilizacyjności. Śmiejemy się z punktualności w spożywaniu posiłków w Anglii czy Francji. Większe osiągnięcia tych narodów bodaj czy nie mają i w tym swych źródła. Bo przecież tu jest wyraźne liczenie się z mechaniką ludzkiego ciała. Ludzie z krajów zachodnio-europejskich dobrze wiedzą, że organizmowi ich potrzebne są tłuszcze, białko, węglowodany, fosfor, żelazo czy wapno; wiedzą, że bez witamin ich mięśnie i mózg będą mniej sprawnie funkcjonowały.

Kulturę tworzymy przez opanowywanie natury, a opanować naturę to właśnie liczyć się z jej prawami.

Czy mamy tradycje rozumnego gospodarowania tym naturalnym mechanizmem, którym jest ciało ludzkie, czy zaspokajamy jego potrzeby tak, by wydobyć z niego maksimum energii fizycznej i duchowej? Odpowiedź wypadnie oczywiście przecząco. Przeciwnie nasze społeczeństwo charakteryzuje niechlujny stosunek do odżywiania się, ilość przekładamy nad jakość, brak nam jest rozumniejszego zróżnicowania pokarmów. A przecież to zagadnienie jest dzisiaj alarmujące. Grozi nam cherlactwo. Cały nasz naród przechodzi okres rekonwalescencji. Miliony niedożywionych z obozów, z partyzantki, z robót przymusowych, toż to ludzie, którzy przez szereg lat żyli deficytowo, eksploatowali z konieczności własne organizmy do ostateczności. Mamy kolosalne braki, które nie prędko zostaną wyrównane, dlatego tym bardziej należy akcentować sprawę racjonalnego odżywiania społeczeństwa. Wyrównać niedobory organiczne narodu to pierwszy postulat, po zaspokojeniu którego można będzie już bez narażenia się na opadnięcie z sił i zniechęcenie podjąć te trudne zadania, które stoją przed narodem. Jest on dziś nadal w ciężkiej walce o utrzymanie się przy jakim takim standardzie życiowym. Wyprodukowanie odpowiedniej ilości i jakości artykułów konsumpcyjnych to dla kraju „być albo nie być”.

Dlatego takie fakty jak warszawska wystawa przemysłu spożywczego czy łódzka

wystawa spółdzielczości ogrodniczej powinny być szeroko omawiane; opinia publiczna winna być w te sprawy wciągnięta. Publicyści nie powinni wymijać tego problemu. Czym się odżywiamy, co powinniśmy jeść, a co rzeczywiście możemy jeść — oto lekcja wystawowa, zwłaszcza wystawy ogrodniczej. Spójrzmy na nią oczami nieuprzedzonego widza.

POZÓR I RZECZYWISTOŚĆ

Na wystawie łódzkiej znalazło się wszystko to, co mogą wyprodukować nasze ogrody i sady. Dziesiątki różnokształtnych i różnokolorowych odmian jabłek, stopy wspaniałe wyrosniętej marchwi nantejskiej, pięknie ukształtowanych buraków ćwikłowych, pietruszki, porów, selerów, jest wspaniała gatunek cebuli wolskiej. Warzywa, owoce — pachnące, barwne. Stoiska estetycznie pomysłane, plony pracy ludzkiej starannie zaprezentowane. Owoc i warzywa pokazane są w trzech odmianach ich możliwej konsumpcji — w stanie surowym, owoc i warzywa przerobione na konserwę, wreszcie produkty te pod postacią suszu. Warzywa w tych odmianach mogą być spożywane jak rok długi; przemysł konserwowy i suszarnie przedłużają czas konsumpcji.

Wystawa gromadzi wszystko to, co w jakikolwiek sposób wiąże się z produkcją ogrodniczą, można tu oglądać środki na zwalczanie szkodników, wszelkiego rodzaju narzędzia, ułatwiające pracę w ogrodzie; rękami ludzkimi idzie i tu technika znakomicie w pomoc.

Widz może się napatrzeć, po nasyceniu jednak oczu, zaczyna się czegoś niepokoić. Czegoś mu tu brak. Dowiedział się, że winogrona mają największą ilość witamin, że spółdzielnia ogrodnicza w Tymbarku ma pierwszorzędne obroty, że hodujemy wie le pięknych odmian jabłek, że owoce najładniejsze są w okolicach Nowego Sącza. Wreszcie jego niepokój konkretyzuje się w wyraźne postawione pytanie. Gdzie wskaźniki produkcji? Ileż, na Boga, możemy zjeść tej marchwi, o której rodzice, gdy

Piotr Wyrobek

Każdy z nas nosi w swej duszy Amerykę, lecz czy każdy z nas umie być tym Kolumbem, który ją odkrył? Wszak już powiedziano, że kłamstwem jest wdziek — złuda jest piękność, zatem honor i sława mogą być tylko tym zboczaniem moralnym, przejawiającym się w zapomnianiu o tym, czego dokonali nasi przodkowie, zanim my odkryliśmy w sobie inne wartości. Bo wartości życia człowieka są zawisłe od wartości jego duszy. Silne ciało potrzebuje ruchu, wyładowania energii, a gdy ją człowiek czy to w boju czy w inny sposób wyładowuje, to jest jego „honorem”. — Żywy umysł potrzebuje znowu stawy duchowej, zdobywa więc wiedzę tak jak serce zdobywa miłość, gdyż i zmysły człowieka pragną zaspokojenia — a zdobycze te są tym honorem człowieka.

Posiadający charakter nie ma zwyczaju wyrażania się że o kimś. Nazywamy takiego człowiekiem honoru. — Honor nie jest niczym innym jak kontrolą samego siebie. Jest zatem dążeniem do poznania samego siebie pod znakiem dobra i piękna. Aby honor człowieka należycie ocenić, wystarczy często, gdy zna się jego nieprzyjaciół i słyszy się, co o nim mówią.

Ja np. zawsze marzyłem tylko tym, aby w życiu być maleńkim a pożytecznym dla drugich, za co często spotykałem się z zarzutem, że nie mam honoru. Jak Dante w poemacie „Biesiada” czulem wstręt do tych, których pycha rozsądzała: wstrętna żądza władzy, chciwość pieniądza lub ugania się za sławą. A już w młodości słyszałem od mych rówieśników na wsi takie przycinki: „Pietrek! — mój honor — bądź chłopem!”. Znaczyło to: nie bądź tchórzem, gdy cię kto zaczepi — to wa!

Gdy pewnego razu wracałem z miasteczka i wstąpiłem do karczmy zw. „na pińkach”, zastałem tam czterech parobczaków pijących piwo, którzy zaprosili mnie ku sobie, stawiając przede mną szklankę piwa. Jeden z nich zgrzytnął zębami i wypowiedział te słowa: „Ty Pietrek nimas żadnego honoru, bo jeno

byliśmy mali, mówili, że „krwi przysparza”, no a te wspaniałe „oberlandzkie”, czy „piękna z Boskoop”, bądź złotuśkie „pepiny londyńskie” czy „Janathany”, dla kogo to? (Mój widz jest robotnikiem lub gospodarzem przybyłym do Łodzi z wycieczką wiejską, bądź nauczycielem). Któż to może jeść? Entuzjastyczny dziennikarz mówi wprawdzie gdzieś tam na łamach swojego piśmka, że dzisiaj jabłko już przestało być niedostępne dla dziecka chłopskiego czy robotniczego. Widz jednak wie, że jest inaczej. Skaczą mu przed oczyma ceny. Piękne wypielęgnowane renety, koszele, baumany chowają się nagle za wywieszki z napisami: 160 zł, 200 zł, Cyfry się kręcą, wirują. Jabłko się broni, szepce, że chce być jedzone, owszem, że jest zdrowiem i radością dla człowieka. Ale tymczasem „rzeczywistość skrzeczy”. Nasz widz to tak zwany „przeciętniak”. Taki ma 5,000-zł miesięcznie, może trochę mniej, może trochę więcej, to jest przeciętna zarobku. Do tego ma czteroosobową rodzinę. Propagatorzy mówią mu — jedno jabłko dziennie to zdrowie twoje człowieku! Chyba tak, ale przy tym liczy: cztery jabłka dla rodziny — 100 zł. W przeliczeniu miesięcznym 3.000 zł. „Nie chyci!” panie dziennikarzu — ręka dziecka wyciągnięta ku owocowi, opada zawiedzioną. Produkcją, okazuje się, rządzą surowe prawa. Mała ilość artykułu, — wysoka cena, to są niezmiennie prawa ekonomiki. Nasz drzewostan jest dziś mały, surowe zimy przetrzebily drzewa naszego kraju, jak wojna ludzi. Gdy chodzi o owoce propaganda spożycia jest zlekka kpina z dzisiejszej biedy ludzkiej. Za parę lat już będzie inaczej. Spółdzielnie ogrodnicze pracują na „całą parę” z Tymbarkiem na czele. Powstają setki szkółek drzew owocowych, drzewka te rozprowadzane są między rolników, by zakładali sady.

Propaganda tu nie ogranicza się do rzucania hasel bez pokrycia, a idzie z pomocną ręką, planem konkretnym. Spółdzielnia ma swojego instruktora - ogrodnika, który okolicy doradza, pomaga, poucza i spółdzielnia prócz drzewek dostarcza narzędzi

i środków chemicznych do zwalczania szkodników w ogrodach. Ruch spółdzielczy może za parę lat rozwiązać problem taniego jabłka. Dziś niestety mogą je nadal jeść nieliczni.

A cóż z warzywami??? Z doświadczenia wiemy, że tak bezpośredni ich producent chłop jak i człowiek miejski w okresie wegetacji zjadają tych warzyw dostateczną ilość. Gorzej jest w miesiącach zimowych. Tu może przyjść z pomocą konserwa jarzynowa — groszek zielony, fasolka szparagowa, pomidory, ogórki. Apetyczne! ale znów w puszkach i stojach diabelnie drogie. To samo, co z jabłkiem. „Przeciętniaka” nie stać na te rzeczy, które powinien jeść. W wypadku drugim jednak tkwi jakiś błąd. No bo surowca mamy chyba dosyć, zdolność przetwórcza fabryk też jest większa niż ich produkcja. Przemysł konserw warzywnych stwierdził, że przerobił tylko 3,5 proc. ogólnego zbioru warzyw i owoców, podaje za powód tego małego wskaźnika słabą chłonność rynku wewnętrznego. Dość dziwnie brzmi to oświadczenie. Przemysł ten używa tu terminów: chłonność rynku, opłacalność, tak jakby z innej struktury gospodarstwa, nie naszej. Okazuje się, że przyzwyczajenia to silna strona człowieka. Elementarne znów prawo handlu mówi, że zwiększenie produkcji wpływa na potaniecie wyprodukowanej jednostki. Przypuszczamy, że ilość odbiorców na pewno by się zwiększyła, gdyby produkt stał.

Wystawa łódzka gdyby chciała propagować spożycie owoców i wrzyw, stała by się czymś w rodzaju „komedii pomyłek”. Natomiast jest cenną imprezą, gdy daje wytyczne do produkcji, gdy zachęca i pokazuje drogi, gdy mówi o osiągnięciach i perspektywach na przyszłość. To jest pozytywna robota Organizatorów wystawy. Jeden skromny afisz Spółdzielni Łowickiej, w którym się mówi, że zakontraktuje ona od chłopów na przeciąg 5-u lat wszystkie warzywa z 5,000 ha ziemi, — mówi wiele. Na rachunek zakontraktowanych plonów daje nasiona, nawozy, narzędzia, założy 50 szkółek drzewek owocowych! To jest robota. Taki afisz był na wystawie tylko jeden, prawdopodobnie przypadkiem, ale faktów mu odpowiadających jest w dzisiejszej Polsce dużo.

O honor chłopski

Z księdzem wikarym i profesorami i organistom chodzisz a nami parobkami gardzisz”.
Zdziwiło mnie zaraz dlaczego moi „honorowi” przyjaciele tak szybko spijają piwo i każą żydowi stawiać inne, gdy ja ani polowy szklanki nie wypilem, lecz wyjaśniło się to niebawem, gdy moi znajomi wyszli do drugiej izby na jakąś naradę, a Żyd przychodzi do mnie i mówi: „Pietrek uciekaj, bo będą cię bić”. Oczywiście i tu stehórzyłem i zmychnąłem, a gdy ci czterej zauważyli, byłem już o jakie pół kilometra od karczmy na osieckiej górze i widziałem z daleka ich pogrózki i słyszałem krzyki. Odgrażali mi się za to, że nie trzymał z nimi i nie szedł po linii ich chłopskiego honoru. Chodziłem z takimi od których pobierałem książki do czytania zamiast waleśać się od karczmy do karczmy i za to nienawidzili mnie jak człowieka bez chłopskiego „honoru”.

A jeszcze jeden przykład: w r. 1911 odbywały się wybory do austriackiego parlamentu. W mojej wsi miało się odbyć zgromadzenie przedwyborcze, na którym mieli przemawiać kandydaci na posłów. Ja trzymałem stronę SL, z którego był kandydatem wójt z Bieńkówki Józef Rusin, ludowiec, chłop bardzo światły i porządny człowiek.

Wstąpiłem do karczmy aby zbadać sytuację. Zastąpiłem pełną karczmę chłopów, którzy na mój widok powstali i racyli mnie piwem, pytając się mnie, kogo z tych kandydatów radzę im wybierać. Gdy im zaleciłem Józefa Rusina krzyknęli: „My nie chcemy żadnego Rusina, bo my na ciebie chcemy głosować!”. Wykrecałem się od tego, gdyż nie kandydowałem, a oni okrzyknęli mnie znowu: „Ty nimos żadnego honoru — nasa wieś chce mieć ten honor, abyś ty był posłem! A ty nie dbos o swój honor!”.

Otóż w tych słowach jest gotowa wypowiedź, jak już wtedy świetlejsi chl pi za czeli pojnować znaczenie honoru chłopskiego. Jednak nie wszyscy, bo między nimi byli i tacy, którzy nie czytali gazet, a nym było

trzeba, czy nie trzeba, to i sto piw kazali postawić żydowi, a gdy „honor” ich opanował jakiś szal (jak w pewnym wypadku się to zdarzyło) te 100 piw fundator zwałł ze stolów na podłogę, bo to jego „honor” mu tak kazał, i znowu woła: „Żydzie! postaw tu 100 piw” — no i drugi raz szynkarz nalał 100 szklanek — chłop za 200 szklanek „honorowo” zapłacił, ale gazety taki nie zaprenumerował! Inny znowu zaprenumerował sobie dziennik „Czas” bo to panowie czytają, bo mu tak kazał „honor”.

Chwała Bogu, że dziś ten chłopski honor przybiera kolor inny. Świadcza o tym korespondencje ze wsi, pisane do gazet chłopskich domagające się dla wsi wyższej kultury. Wystarczy choćby przeczytać gazetę „Chłopi” i taki w niej artykuł pt. „Na wyższy szczebel kultury”, albo też wiersz Stanisława Nędzy-Kubińca pt. „Chłopski Dom” zamieszczony w Nr 1 pisma „Wolna Gromada”. „Dziś i ta wieś” z której pochodzę, w inny sposób niż dawniej podchodzi do pojęcia honoru. Od przeszło 20 lat ma 7-klasową szkołę, pomieszczoną w budynku, którego by się nawet Kraków nie powstydzil i dziś słyszeć tam można takie chlepliwie słowa, że 36 uczące się młodzieży ma w szkołach średnich, — podczas gdy z sąsiedniego miasteczka tylko 17 uczęszcza do takich zakładów. A więc honor chłopski został uratowany — i mój i mojej rodzinnej wioski honor!

KOMUNIKAT ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZW. ZAW. LIT. POL.

Od lata b. roku Sekretariat Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Pol. mieści się w Warszawie. Prosimy członków „Oddziału”, by w sprawach wszelkich kierowali listy na adres: Edward Marzec, Sekretarz Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich, Warszawa — Marymont, ul. Rajszevska, 49.

WYDAWNICTWA
Instytutu Oświaty Rolniczej
Związku Samopomocy Chłopskiej
REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Al. Przysięciół 5.
WRZESIEŃ 1946

**BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY
CHŁOPSKIEJ**

- Nr. 1 Prof. dr E. Chroboczek:
„Ogród warzywny przy domu”,
str. 28, cena zł. 5.
Nr. 2 Inż. St. Zaliwski:
„Krzewy owocowe”, str. 64
cena zł. 25.
Nr. 3 Prof. dr J. Kochman:
„Ochrona sadów”, str. 50
cena zł. 20.
Nr. 4 K. Chrzastowski:
„Wskazówki dla księgowych
spółdzielni Samopomocy Chłopskiej”,
str. 104, cena zł. 40.
Nr. 5 Prof. dr J. Jagmin:
„Uprawa lnu i konopi”, str. 56,
cena zł. 20.
Nr. 6 Prof. dr Z. GOLONKA:
„Łąki — ich uprawa i użytko-
wanie”, str. 36, cena zł. 18.
Nr. 7 Doc. dr A. Listowski:
„Ziemniaki”, str. 40, cena zł. 20.
Nr. 8 Prof. dr Cz. Kanafojski:
„Siewnik rzędowy”, str. 36,
cena zł. 25.
Nr. 9 Prof. dr Z. Pietruszczyński:
„Lucerna”, str. 40, cena zł. 25.
Nr. 10 Prof. Andrzej Mering:
„Jak przetwarzać owoce i warzy-
wa na użytek własny”, str. 72,
cena zł. 30.
Nr. 11. Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski
„Człowiek i chów kur” str. 66,
cena zł. 30.
Nr. 12. Dr J. Kielanowski:
„Chów świń”, str. 52, cena zł. 30.
ZAGADNIENIA ROLNICZE
Nr. 1. Inż. St. Zaliwski: „Dobór od-
mian drzew i krzewów owoco-
wych”, str. 20, cena zł. 10,
(wyczerpane).
Nr. 2. Prof. dr Cz. Kanafojski: „Za-
gadnienie racjonalnego wykorzy-
stania traktorów”, str. 10, cena
zł. 10, (wyczerpane).
Nr. 3. Inż. Z. Dubiska: „Naturalny
i sztuczny wychów kurcząt”,
str. 12, cena zł. 10, (wyczerpane).
Nr. 4. Doc. dr A. Listowski: „Możli-
wość rozwoju nasieniactwa w
drobnych gospodarstwach”, str.
12, cena zł. 10.
Nr. 5. Prof. dr Z. Pietruszczyński:
„Wybór kłębów ziemniaczanych”,
str. 12, cena zł. 10 (wyczerpane).
Nr. 6. Prof. dr J. Kochman: „Cho-
roby wirusowe ziemniaków”,
str. 20, cena zł. 20.
Nr. 7. J. Skulski: „Niebezpieczeń-
stwo stonki ziemniaczanej”, str.
13, cena zł. 10.
Nr. 8. Prof. dr E. Chroboczek i Prof.
dr Fr. Piaśnik: „Jak przebudow-
ać istniejące budynki na prze-
chwalnie owoców i warzyw”,
str. 32, cena zł. 20.
Nr. 9. Prof. dr inż. Czesław Kana-
fojski: „Sprawa budowy polskich
ciągników rolniczych”, str. 12,
cena zł. 15.
Nr. 10. Mgr. J. Pieniążek: „Sok Po-
midorowy”, str. 16, cena zł. 15.
Nr. 11. Prof. dr E. Chroboczek: „Za-
gadnienie produkcji i przetwor-
stwa warzyw w chwili obecnej”,
str. 44, cena zł. 20.

W DRUKU:

- Prof. dr M. Górski:
Nawozy i Nawożenie.
Prof. dr M. Górski:
Nawozy Naturalne.
Prof. dr B. Świętochowski:
Poradnik Osadnika Śląskiego
Część I — Uprawa roli i roślin.

W OSTATNIM (43/71) NUMERZE „WSI”
z dnia 3 listopada 1946.

Tadeusz Papier — „Emigranci”, Władysław Błachut — „Jeszcze o wiejskiej poczcie”; Władysław Dziubiela — „Wieczorne opowieści”; — Zygmunt Sierp — „We wsi muzyka, Włodzimierz Wnuk — „Ziemia” w Gusen jęczała; Stanisław Pięta — „Partyzant i dziewczyna (III)”; Stefan Baścik — „Warunki materialne studiów akademickiej młodzieży chłopskiej”; Zygmunt Stolarski — „Jak wczoraj”; Stefan Lichański — „U poetów”; Kazimierz Sosnowski — „Bitwa pod Gdowem”; Czesław Garda — „Organizacja powszechnej oświaty rolniczej w Polsce”; Stanisław Paleczny — „W wczoraj”; korespondencja, 1 ilustracja, 8 stron.

Stefan Lichański

„A walczącym — bojowy znak”

Władysław Broniewski: **BAGNET NA BRON**
Pod znakiem poetów, seria trzecia, Wydawnictwo J. Mortkowicza. Kraków — Warszawa, MCMXLVI, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, str. 46 + 2 nl. **DRZEWO ROZPACZAJĄCE**, wyd. j. w., str. 88 + 4 nl.

Ukazały się dwa zbiorki wierszy czołowego poety polskiej lewicy społecznej, zbiorki wierszy powstałych przeważnie na emigracji i tematycznie związanych z przeżyciami owego okresu. Nie wnoszą one tomki do twórczości Broniewskiego jakichś tonów nowych i nieoczekiwanych, raczej nawet rzecz można, że podkreślają i uwypuklają najbardziej zasadnicze cechy charakterystyczne tej poezji.

Broniewski jako poeta związany jest ideologią artystyczną z tradycjami „Skamandra”. W ostatnich latach przedwojennych poezja Broniewskiego nasycała się jednak także elementami treściowymi i formalnymi przejętymi skądinąd, głównie z poezji rosyjskiej. Okres emigracji jakby zerwał zupełnie te związki i z powrotem uwieźlił poetę wyłącznie w kręgu skamandryckiej tradycji wierszopisarskich. Prawdopodobnie dlatego odnosi się przy lekturze obu ostatnich zbiorów wrażenie, że choć zawierają one szereg utworów zgoda nieprzeciętnych, są jednak w porównaniu np. z przedwojennym tomikiem „Troska i pieśń” — krokiem wstecz, odwrotem ku wcześniejszej fazie rozwoju poetyckiego, fazy związanej w zakresie form wyrazu z terminowaniem u „Skamandrytów”, a w zakresie ideologii — z kontynuowaniem tradycji polskiego socjalizmu wytworzonej przez rewolucję 1905 roku, a skodyfikowanej w utworach Żeromskiego, Struga, Daniłowiczkiego.

Poezja to czysto emocjonalna, bezpośrednia wypowiedź pod naciskiem wewnętrznego impulsu:

Ja hymn chętnie nie pisałem,
ale muszę:
czort jakiś mnie rozkołysał,
wziął w duszę,

czort jakiś szepcze mi: „Napisz
na przekór piekłu i niebu”, —
i nie pomoże Papież,
i nie pomoże Bielebub.

Twórczość poetycka tak pojęta staje się prostym przedłużeniem przeżyć rzeczywistych, zamykaniem w „mowę wianą” stanów psychicznych związanych z aktualnie przeżywanymi zdarzeniami. Trudno byłoby twierdzić, że niepodobna przeżyć bardzo niedawnych wykorzystywać jako tworzywa artystycznego, jak to twierdził np. pseudoklasyk. Ale nie wolno i pseudoklasyków potępiać z tego powodu zbyt pochopnie. Przeżył czasowo bliższe tylko wtedy bowiem mogą zostać wykorzystane z powodzeniem jako tworzywo artystyczne, kiedy przejdą przez naprawę potężny transformator i intelektualny i artystyczny, gdy wydobycie z nich zostanie to, co przelotnej chwili nadaje wagę momentu historycznego. W innym wypadku albo robota artystyczna chybia celu i otrzymujemy jakąś pseudoliteracką publicystykę, albo prywatne, indywidualne przeżycie wysuwa się na plan pierwszy i zamiast dzieła sztuki powstaje autobiograficzna ploteczka. Pseudoklasyk, dla którego ideałem była doskonałość wyrazu, a nie siła, zdawał sobie (choć może podświadomie) sprawę z tych niebezpieczeństw i woleł nie zapuszczać się na tereny takiego poetyckiego „Dzielnego Zachodu”, tolerując najwyższe poezje okolicznościową okleisaną surowymi prawidłami poetyki normatywnej.

Broniewski jest zbyt impulsywny, by stosować się do wcale zresztą niegłupich wskazań poetyki pseudoklasykowskiej i usiłuje stoczyć walkę wręcz ze swoją współczesnością, ażeby opanować jej istotny, najgłębszy sens. Rezultatem tych usiłowań są wiersze „z głębszą myślą” żywo przypominające Słonimskiego, który całą swoją mądrość filozoficzną czerpał z powieści Wellsa. Bardzo charakterystyczne będą pod tym względem utwory takie jak „Grób Tamerlana”, „Via Dolorosa”, „Dwugłos” z „Bagnet na broń” czy „Po co żyjemy” lub „Homo sapiens” z „Drzewa rozpaczającego”. Wiersze te świadczą najlepiej, że liryka refleksyjna, filozofująca nie jest najsilniejszą pozycją w dorobku poetyckim Broniewskiego. Echa Słonimskiego są tu bardzo wyraźne. Oto np. w zakończeniu wiersza „Homo sapiens” poeta wyraża życzenie,

by na skrwawionej globu mapie
stanął do walki przeciw lotrom
dobry, spokojny — Homo Sapiens.

Czyż to nie reprodukcja dość wierna strofy Słonimskiego brzmiącej następująco:
Z trudem podźwiga głazy powiek
Ażeby podnieść wzrok w błękit,
Wstaje — łagodny, słaby człowiek,
Syn prawowity.

A czyż nie najzupełniej w duchu Słonimskiego jest utrzymana wiza postaci Chrystusa w wierszu „Via Dolorosa”:

Ciemnie na głowie.
Sam wśród gawiedzi ulicznej,
Dobry człowiek.
Wzięcia polityczny.

Jak na liryce refleksyjnej Broniewskiego zaciążył fatalnie wpływ Słonimskiego i nie-
możność wyjścia poza krąg ideologiczny przejęty przez pisarzy typu „skamandryckiego” od młodopolskiej lewicy literackiej (Żeromski, Strug), tak znowu w liryce osobistej autora „Drzewa rozpaczającego” słyszymy wyraźne echa Tuwima z okresu „Siódmej jesieni” i „Sokratesa tańczącego”:

Listki akacji? Jesień? No tak...
Życie — no tak — niewczesne...
Pozwól, że lęknie — niech trafi szlag! —
pozwól, że lęknie i westchnie.

(„Wiersz przeciwjesienny”),

W podobnym tonie i stylu są utrzymane utwory takie, jak np. „Warum”, „List bez adresu”, „Ze złości”, „Wiersz ostatni” i cały szereg innych. W paru zaledwie utworach osobistych przełamuje poeta ten maneryczny szablon skamandryckiej „poezji pospolitosci” i daje utwory pełne czystego liryzmu, wiersze o naprawdę wielkim ciężarze gatunkowym jak np. „Ballada” czy „Ręka umarłej”. (Motyw zasadniczy tego ostatniego utworu jest zaczerpnięty z ludowego wierzenia, że dusze umierających mogą dawać znać bliskim sobie osobom o swoim odejściu).

Mimo jednak wielkiej niekiedy piękności swojej wiersze tego rodzaju jak wspomniane powyżej są w twórczości Broniewskiego zjawiskami wyjątkowymi. Zasadniczy ton, zasadniczy nurt tej poezji buntu i walki odnajdujemy dopiero w liryce żołnierskiej naszego poety:

Nasze granice naszli zniecałk
słupy graniczne zewsząd zrabali...
Idźcie Kresowa, idźcie Karpacka,
w dymie eksplozji, w hukku batalii.

Nasze granice?... — trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy
My już to wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

(„Monte Cassino”)

Dla obu ostatnich zbiorów najbardziej reprezentatywne i rozstrzygające o znaczeniu tych książek są wiersze takie jak „Bagnet na broń”, „Żołnierz polski”, „Co mi tam troski”, „Zamieć”, „A kiedy będę umierał”, „Monte Cassino”. Przekonywują nas one, że poeta ma pełne prawo mówić o sobie:

bo dziś Pielgrzymów jam rówieśnik,
Wygnańców depczę ślad,
i muszę donieść ciężar pieśni
na tamten brzeg mych lat.

(„List z więzienia”)

I te wiersze pozwalają nam zrozumieć sekret wpływu i popularności poezji Broniewskiego. Poeta ten potrafił nadawać poetycki wyraz uczuciom zbiorowości, potrafił uczucia te zamknąć w słowo najprostsze, a zarazem najtrafniejsze, jakby właśnie przez tę zbiorowość podyktowane. I dlatego nie w jakichś rewelacyjnych z punktu widzenia filozofii sformułowaniach, nie w oryginalności czy doskonałości walorów formalnych leży siła i wartość poezji Broniewskiego, ale właśnie w zdolności nadawania kształtu uczuciom i pragnieniom bezmiernym, nie mogącym znaleźć sobie wyrazu — i to nadawania kształtu właśnie takiego, że zbiorowość przeżywaną owe pragnienia i uczucia poznaje je w tym kształcie jako własne. Jeżeli o kimś ze współczesnych poetów można z całą pewnością powiedzieć, że jest poetą ludowym w najpełniejszym i najwłaściwszym tego słowa znaczeniu — to właśnie o Broniewskim. Nic też dziwnego, że robotnicy Łodzi ufundowali z groszowych składek nagrodę dla tego poety. Pierwszy — i jakże zasłużony pierwszy! — to poeta, który wawrzyn otrzymał nie z rąk kolegów po piórze czy państwowych urzędników, ale z rąk pracującego ludu. Przed wojną umiał Broniewski wyrazić w swej poezji cierpienie i bunt mas ludowych, w okresie wojny stał się wyrazicielem ich patriotyzmu, ich woli walki i zwycięstwa.

Jest jeszcze jeden rys poezji Broniewskiego, który gwarantuje jej rozległość i doniosłość wpływu: wspaniałe wieczne malkontentstwo poety, które każe mu szukać coraz nowych i doskonalszych wzorców dla kształtowania rzeczywistości, nie zadawalać się już osiągniętymi formami, realizować przeciw wszelkim odstępstwom od realizowanych ideałów.

Moje życie podobne lustru,
w którym zły przegląda się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całopalny mnie rzuca stos.

(„Do poezji”)

Ta poezja nigdy nie stanie się nadwornym biżanem ani lokajem żadnej istniejącej rzeczywistości. Ale jej opozycjonalizm, jej buntowniczość nie ma w sobie nic z nihilistycznego pesymizmu, negującego wszystko w imię własnej impotencji twórczej. Bunt przemawiający strofami wierszy Broniewskiego — to protest wyczułonego sumienia, chwytającego trafnie wszystkie fałszy, wszystkie dysonanse istniejącej rzeczywistości. Ta forma poetyckiego malkontentstwa jest nie potępieniem świata, ale jego najgłębszą afirmacją, bo u podstaw jej leży ta sama choć innymi wypowiadająca się językami wiara w możliwość nieograniczonego postępu ludzkości, która każe Słowackiemu żywić nadzieję:

że coś większego ze świata być może,
Gdy się urodzi w nowość z ducha cudów,
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów.

To zestawienie Broniewskiego ze Słowackim nie jest ani przypadkowe, ani też nie należy go uważać za zdawkowe pochlebstwo. I poetyka Broniewskiego i jego poglądy na rolę sztuki w życiu społecznym wywodzą się poprzez Młodą Polskę z tradycji polskiego romantyzmu. Nie mam zamiaru w tym wypadku ani zachwycać się tymi parantelami literackiego Broniewskiego, ani też łamać nad nimi ręk. Chodzi mi po prostu o stwierdzenie faktu. Jedno tylko można powiedzieć z całą pewnością: postawę swoją traktuje Broniewski najzupełniej serio, nie ma nic z pozy ani przesady w tej autocharakterystyce poety:

całe życie jestem na froncie
Ikarowy zacząwszy lot,
jak samolot z tych nieb mnie strącał,
żeby spadł jak młodziący młot,
żeby runął sercem płonącym
jak przedwiecznej legendy ptak:
obietnica umierającego,
a walczącym — bojowy znak.

(„Do poezji”)

Bojowym znakiem dla walczących była zawsze poezja Broniewskiego. Wyrosła ona poza techniczną umiejętność gładkiego skłaniania słów w wiersze, poza snobistyczną zabawę w jałowe rymotwórstwo. Nasycona najgłębszą treścią ludzką, przemawiająca przede wszystkim moralną swoją siłą i powagą, imponująca odwagą przekonania pozostania ta poezja — mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie można zgłosić pod jej adresem — trwałą pozycją w dziejach naszej literatury.

Biblioteczka tyg. „Wieś”

Tygodnik „Wieś” rozpoczyna wydawanie „Biblioteczki Popularnej”. Technicznie rzecz biorąc będą to tomki do 32 str. druku, wydawane co miesiąc.

Sprawą zasadniczą, interesującą czytelnika i pisarza jest jednak przede wszystkim myśl tego wydawnictwa. Otóż przy pomocy takich rodzajów literackich jak nowela, obrazek, o powiadanie, pragniemy dać obraz tych przeobrażeń, które przeżywa wieś dzisiejsza.

Reforma rolna w jej trudzie praktycznego załatwienia, wszystkie jej konsekwencje a są one niebyłejakie i strukturę wsi zmieniają do gruntu, próby racjonalnego planowania w gospodarce rolnej i przełamywanie się tych prób w świadomości chłopca, technizacja wsi, pęd wsi do awansu kulturalnego, próba przechodzenia chłopca do innych kręgów pracy i wiele innych zagadnień — oto tematyka.

Jest ona bogata i zróżnicowana. Byłoby rzeczą śmieszna załatwiać ją metodą plakatową. Tematyka ta potrzebuje odważnych piór i ostrego spojrzenia. Sytuacja wsi jest niewątpliwie nadal trudna. Przeżyła ona poważny wstrząs społeczny. Nowa wieś dopiero się wykluwa; do rozrostu ma ona warunki; to jest jej autem, że ma obecnie przed sobą perspektywę wyjścia.

Można tu, ażeby dać w przybliżeniu to, o co nam chodzi, posłużyć się analogią historyczną. Ta analogia jak każda inna tylko w pewnych punktach będzie nakrywała dwa momenty z dziejów naszej rzeczywistości wiejskiej, które chcemy zestawić. Te momenty są różne w swych przyczynach, podobne nowością sytuacji. To wieś powłaszczona w drugiej połowie XIX w. i wieś po Reformie Rolnej — owoc rewolucji społecznej która nasze państwo przeżywa.

Wieś powłaszczona została literacko pokwitowana. Pióra Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej kreśliły też właśnie wieś, stawiając te wszystkie zagadnienia, które wówczas były dla niej właściwe. W ten sposób nowela przyzwykła spełniła swoje zadanie — wprowadziła w świadomość narodową sprawy, które były palące dla tamtego momentu historycznego.

Dzisiaj pisarze ludowi stają wobec równie trudnego zadania — wprowadzić w świadomość warstwy chłopskiej i narodu takie kategorie myślenia, uczucia i działania na odcinku rzeczywistości wiejskiej, by wieś ta awansowała rzeczywistości.

Pisarz jest czytłym świadkiem procesu historycznego.

Pisarz swoją organizującą wyobraźnię literacką może pokazać gromadzie wiejskiej wszy stkie możliwości, jakie przed nią stoja.

Autorami nowel, wydawanych przez Tygodnik „Wieś” będą pisarze z „marki” a poza tym młodzi literaci z kręgu wiejskiego.

Zwracamy się do pierwszych jak i do drugich z apelem o nadsyłanie swoich utworów.

Jasna jest że podjęcie tego wydawnictwa napotka na duże trudności. Praktyczne wykonanie będzie mogło niejednokrotnie budzić zastrzeżenia. Jedne pozycje będą lepsze, drugie gorsze. Prosimy jednak o życzliwe przyjęcie samej myśli i o dopomożenie w jej realizacji.

Prosimy tak pisarzy jak i czytelników; niech ewentualne błędy nie przekreślają w ich oczach całości.

* * *

Pierwsza pozycja „Biblioteczki Popularnej” są opowiadania Józefa Pogana: „Dekret Niebieski” i „Biedny i Bogaty”.

Jest tu ujęta sprawa reformy rolniej i różnicowania socjalnego wsi. Technika pisarska Pogana wskazuje na to, że Autor łączy się z typem myślenia „wsi wczorajszej”. Do niego nawiązuje, by stworzyć jakby punkt wyjścia do tych wiec, których dzień dzisiejszy wymaga.

L. S.

POPULARNA BIBLIOTECZKA
TYGODNIKA „WIEŚ”

TOM I

JÓZEF POGAN

DEKRET NIEBIESKI
BIEDNY i BOGATY

OPOWIADANIA

CENA 20 ZŁ.

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU
SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
ŁÓDŹ — 1946

A. Kwiecień

M A Z U R Y

I. TAM, GDZIE KOPERNIK WOJOWAŁ

Nagle skończyły się mazowieckie chaty o bielonych ścianach i słomianych dachach. Skończyły się równiny uprawnych pól. Ukazały się rozrzucone czerwone domy i zabudowania. Jesteśmy na Ziemi Mazurskiej. Senne lasy, znaczne przestrzenie nieuprawnych jeszcze pól, potłuczone miasta i wsie, liczne jeziora o fantastycznych kształtach — oto krajobraz mazurski. A przede wszystkim lasy i jeziora. Poświęcono im wiele lirycznych opisów i uwieczniano często na uroczych kartach fotograficznych. A ponieważ nie samą liryką człowiek żyje, więc należy przypomnieć realnie: lasy i jeziora to w tej chwili największe bogactwa Ziemi Mazurskiej.

Olsztyn jest siedzibą województwa. Liczy ponad 40 tys. ludności, t.j. więcej niż połowę stanu przedwojennego, także więcej niż połowa miasta — szczególnie śródmieście — leży w gruzach. Zachował się jednak Zamek. Niemcy uważający za wego „grossen Astronomen” Kopernika uparczywie zapominali, że z tego Zamku wielki uczyony dzielnie odpierał (1521 r.) ataki germańskich drapieżców, ozdobionych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Dziś Zamek mieści w sobie Muzeum Mazurskie, w którym mamy bardzo wymowne świadczące za polskośćią tych ziem eksponaty i dokumenty. Ocalał stary ratusz, choć jakaś głupia ręka poobtrącała głowy licznych rzeźbom frontonowym. W dawnym ratuszu ściśnięte zostały liczne urzędy. Do ładnie zaplanowanej dzielnicy urzędów przeniesie się niezawodnie Województwo, które remontuje sobie obszerny gmach, na którym widnieje jeszcze gotycki napis „Kopernicusschule”.

Olsztyn ma stały Teatr im. St. Jaracza (pomnik Jaracza — stoi naprzeciw gmachu), dwie linie tramwajowe, piękną kolonię pracowniczą nad jeziorami, dużo urzędów, instytucji, organizacji i związków na stopniu wojewódzkim. Jest ciasno. Stosunki mieszkaniowe wołają o rychły wgląd Komisji Specjalnej. Ceny produktów żywnościowych jak na starych ziemiach. Najtańsze grzyby i ryby. W sklepach ruch, ale największy chyba w sklepie Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej.

2. WSCHODNIE BASTYONY

WOJUJĄCEGO GERMANIZMU

Wiele w to ziemię wsiątko lez i krwi. W dawnych wiekach ujarzmił tę ziemię rycerze, co krzyż nosili na piersiach, a w rękę ociekającą krwią miecz, w umysłach zaś zdecydowany zamiar wytopienia tutejszego ludu. Później pruskie regimenty wciśkały ten lud w żelaznych swych łapach, urządzając ten kraj na wzór twierdzy i koszar. Ostatnie wcielenie krwiożerczego germanizmu — hitlerizm — najbrutalniej niszczył wszelkie ślady polskości, a równocześnie prowadząc nawet deficytową i zaniedbaną gospodarkę na tych ziemiach — budował w opętańczym szale twierdze wypadowe, skąd rzeczywistość wyszły opancerzone dywizje na podbój Polski i Słowiańszczyzny.

O masach wojsk, jakie tu stacjonowały dają pojęcie chociażby te obrzydliwe kompleksy koszar w Olsztynie, Elblągu, Bartoszycach, Lęborku i wszystkich większych miastach obecnego województwa olsztyńskiego. Triumf Hindenburga spod Tannenbergu nie został powtórzony i już nie powtórzy się.

Z germańską butą, manią wielkości i w swoistym guście wzniesione pod Tannenbergiem mauzoleum Hindenburga jest mocno zniszczone. Czas, by resztkę tego „pomnika” wysadzić w powietrze.

A obok, kilka kilometrów dalej, pola Grunwaldu. Przykro patrzeć na obecny wygląd tego historycznego miejsca. Puste, głuche pola. Żadnego znaku na miejscu. Tylko zapomniane prowizoryczne trybuny, rząd dawno zeszlanych świerzków i szczytki po polach rozrzuconych krzesel. To wszystko chyba jeszcze po zeszlanych wielkich Uroczystościach Grunwaldzkich. Jakby stamtąd wszyscy w pośpiechu uciekli... i zapomnieli.

3. NA BISKUPICH TRAKTACH

Srodkowa i zachodnia część obecnego województwa olsztyńskiego — to dawniejsza Warmia. Katolicka Warmia, która miała dwudziestu kilku Makupów-Polaków od Hozjusza (pocz. XVII w.) począwszy, a na Ignacym Krasickim skończywszy (pocz. XIX w.). Tak mówi sala herbowa w Zamku Lęborskim. Zamek biskupów warmińskich w Lęborku, położony nad Łyną — która ongiś głębokie fosi wypełniała — stanowi jeden z najpiękniejszych na Mazurach zabytków, zachowany jako budowla w zupełnie dobrym stanie. Wewnątrz jednak widać drapieżne wizyty. Był tu żołnierz, gdy front się przewalał, był tu później niejeden weszający szabrownik. Czyja to zła lub beznamiętna ręka porozbięła

piękne piece majolikowe (w poszukiwaniu skarbów?), plastyczny model zamku i okolicy, zdemolowała zamkową kaplicę?

Rezydencję mieli biskupi warmińscy w Lęborku, katedrę zaś we Fromborku. Katedra z licznymi tablicami i nagrobkami polskich biskupów i kanoników zachowała się w dobrym stanie, chociaż sam Frombork jest w 90 proc. zniszczony i jest prawie wymarłym miastem. Fromborska katedra, wysoko nad miasto i Zalew Wiślany wyniesiona, jest związana z Mikołajem Kopernikiem. Obok katedry wskazują nam budynek i okna sal, w których mieszkał i swe epokowe dzieło „O obrotach ciał niebieskich” pisał Wielki Uczoney. W katedrze obok wielkiego ołtarza portret Kopernika, spopularyzowany licznymi reprodukcjami.

Na urwistym brzegu Zalewu wystawili Kopernikowi Niemcy wieżę - pomnik coś, co jest wyjątkowo nieinteligentnie wmontowane w całość związaną ściśle z katedrą.

PIONIERZY

Województwo olsztyńskie posiada już spory zastęp ludzi, którzy są miejscowymi patriotami, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ci doskonale widzą osiągnięcia i braki. Niektórzy z nich pracują tu od kilkunastu miesięcy, borykają się z trudnościami, ale nieustępliwie z dnia na dzień wzmacniają praworządność, podnoszą zagospodarowanie i utrwalają polskość.

Oto jeden z wyższych urzędników Województwa. Mieszka, że pozał się Boże, Martwi się wiele, że wciąż za mało koni na tych ziemiach, że za dużo szabrowników, że nierozsądni ludzie w administracji wiele złego zrobili Mazurom i Polsce. Ale nie tylko się martwi. Wiemy, że mocno zabrał się do ludzi nieuczciwych i sytuację ciągle poprawia, że dzielnie walczy o inwentarz, kredyty i materiały budowlane.

Inżynier K. S. przybył tu z pierwszym Pełnomocnikiem Rządu, gdy jeszcze front był w Królewcu. Zna Mazury wszędy i wsząd. I kocha je. Pracuje w niewygodach i kłopotach od świtu do nocy. Dzięki niemu zostało zabezpieczonych wiele cennych zabytków, dzięki niemu ruszyła odbudowa wielu miast i miasteczek mazurskich. Puszko kilkanaście drobnych i średnich zakładów przemysłowych.

Chłop z Sokołowskiego Józef H. zorganizował, jako jeden z pierwszych, kilkanaście rodzin z biedoty wiejskiej wyciągniętych mimo grózb i terroru „leśnych polityków”. Osiedlili się na zasadach spółdzielczości - parcelacyjnych w dwóch majątkach w pow. lęborskim. Z chłopską zawziętością zaczęli orać, siał, naprawiać zabudowania i maszyny. Aż tu nagle obwieszono im, że majątki przechodzą pod kulturę rolne. Zacięli się chłopcy, bo dużo zrobili i na żadną pomoc się nie oglądali. „Nie puścimy swego dorobku — mówi Józef H. — byliśmy wiele razy w Olsztynie, pojedźmy do Ministra Ziemi Odzyskanych, bo mamy za sobą uczciwą pracę i słusność”.

Traktorzysta Henryk P. orze właśnie na rozległych obszarach majątku państwowego koło Ornety. Przybył tu z kilkoma towarzyszami do stacji traktorów. Jeden z przyjaciół wyleciał z maszyną w powietrze najechawszy na minę, dwóch zrezygnowało i wyjechało do Gdańska. Henryk P. został. Od świtu wyjeżdża w pole i orze.

Takich ludzi na Mazurach potrzeba więcej!

DALSZE ROZMOWY

Z innej, ciemniejszej strony naświetla zagadnienia młody milicjant, z którym rozmawialiśmy koło Szczytna. Ciężka i niebezpieczna jest jego służba. Południowe powiaty województwa, leżące nad granicą województwa warszawskiego i białostockiego wciąż jeszcze narażone są na najazdy band o charakterze politycznym, albo rabunkowo - kryminalnym. Wciąż jeszcze zapędzają się tutaj jednostki lub całe grupy szabrowników. Te wszystkie szkodnicze elementy dewastują gospodarstwa prywatne i państwowe, ruinują budynki mieszkaniowe, dopuszczają się aktów terroru. Najbardziej cierpi na tym ludność mazurska. Wszystko to hamuje zasiedlenie i rozwój gospodarzy tych ziem.

W miastach i miasteczkach dużo sklepów, a wśród nich poważny procent stanowią różne restauracje, piwiarnie, pasztecziarnie i t. p. pokrewne „zakłady”. Jest ich za dużo. Ich właściciele mają pięknie urządzone mieszkania. Ale ich złote czasy skończyły się, wraz z odpływem fal mocno podejrzanych pierwszych „osiedleńców” i „turystów”. Sytuacja wyjaśnia się i krzepnie. Tu już teraz jest miejsce tylko dla ludzi rzetelnej pracy. Szylnicze melancholijnie wspominają „dawnie czasy”, bardzo chłodno mówią o obecnych, a szczególnie nieprzychylnie mówią o autochtonach. Zrozumiałe: jeśli często prawem kaduka zabrało się tej ludności

domy, takimże prawem zajęło się meble i inwentarz — to nic dziwnego, że wszystkim wokół mówi się o całkowitym shitleryzowaniu Mazurów.

MAZURZY I WARMIACY

Warmiacy (określenie ludności według zasięgu dawnej diecezji warmińskiej) mieszkają w pasie rozciągającym się półkolem od Sztumu poprzez Bartoszyce, Lębork, w stronę Olsztyna. Mazurzy (protestanci) zamieszkują tereny południowe i wschodnie b. Prus Wschodnich.

Przed wojną obie te grupy liczyły w sumie ponad 300 tys. ludności. Ludność ta jest z pochodzenia polską. Ale półtora wieku panowania niemieckiego, szczególnie bezwzględna walka z polskością w okresie hitlerizmu — spowodowały, że już znikomy procent tej ludności (i to prawie wyłącznie to najstarsze pokolenie) oparł się wynarodowieniu. Młodzież nie zna już dialektu mazurskiego i uważa się za Niemców. Tylko nazwiska — mimo ich zmieniania — mówią, jakie jest pochodzenie ich właścicieli.

Dziś ludności tej pozostało nieco ponad 65 tys., co stanowi w przybliżeniu 20 proc. obecnego stanu ludności województwa (340 tys.). Przeważają ludzie starzy i dzieci, a więc tacy, którzy albo w sobie nieco polskości utrzymali, albo dają możliwość wychowania ich na Polaków.

Niestety, do tej pory nie tylko, że nie wykorzystano się tych możliwości, ale przeciwnie: możliwości te wydatnie pomniejszono. Kto zawinił? A więc: pierwsi drapieżni goście (ci najwięcej), później w wielu wypadkach przesiedleńcy, którym bardzo na rękę było potraktowanie jako Niemców wszelkiej ludności, jaką tu zastali, następnie liczne nieuczciwe jednostki, zajmujące stanowiska w aparacie administracyjnym, w samorządzie terytorialnym i organach bezpieczeństwa, wreszcie częściowo zawiniono tu odgórnie nie dopatrzywszy ludzi, którzy tu przyszli do władzy, nie biorąc w obronę prawną ludności mazurskiej i warmiackiej oraz pomijając ją całkowicie w rozdziale pomocy przeznaczonej na to województwo.

Stabilizacja i poprawa stosunków gospodarczych, poprawa bezpieczeństwa, wymierzenie szabrownictwa, oczyszczenie elementów administracyjnych, pomoc materialna dla Mazurów, wreszcie rozwój szkolnictwa — wszystkie te czynniki mogą jeszcze owe 65 tys. ludności — skądinąd bardzo wartościowej i tam potrzebnej — Polsce przywrócić.

Chociaż wzięto się do tego nieco za późno, ale lepiej późno — niż wcale.

REALIZM PODANIA O POPIELU

W lipcu i sierpniu 45 r. na sporych obszarach nie było komu zebrać dojrzałych w polach zbóż. Ziarno i kłosa opadły na ziemię. Stały tu i ówdzie całymi miesiącami nietknięte sterty zboża lub słomy; brakło ludzi, by pola orać i uprawiać. Rzuciły się na nie osty i inne chwasty. Ciężka to będzie walka. Ale jeszcze chyba cięższa będzie z gryzoniami. W tych sprzyjających warunkach w niesłychanym stopniu rozmnożyły się myszy i szczury. Gdy z szosy wejdziesz się kilkanaście kroków w pole, to wszędzie widać mnóstwo otworów, ziemia ugina się i zapada pod stopami, stada mysz rozlatują się w różne strony. Są powiaty, w których ponad 75 % zbiorów zostało zniszczonych. W powiecie bartoszyckim — jak wynika z rozmowy z członkiem Prezydium Pow. Rady Narodowej — sytuacja przedstawia się chyba najgorzej. Powiat najbardziej ucierpiał w czasie działań wojennych, jest jeszcze częściowo zaminowany i mimo że ma doskonałą glebę, jest najslabiej zaludniony. Gryzonie zjadły zbiory; ludności zabraknie ziarna do siewu i grozi jej głód. Nakazuje się szybkie omloty, okopywanie stert i różne sposoby zwalczania tej plagi. Osadnicy z obawą patrzą w niedaleką przyszłość.

Szuka się środków zaradczych w postaci specjalnych szczepionek w laboratoriach i zakładach naukowych w Polsce i za granicą. Tymczasem myszy i szczury coraz groźniej zaczynają nachodzić na większe osiedla i miasta. Niestety, wciąż jeszcze niewiele można zrobić, by generalnie zaradzić złu. Los, któremu uległ legendarny Popiel, winien być groźnym ostrzeżeniem dla Ministerstwa Rolnictwa.

O PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZĄ ZIEMI MAZURSKIEJ

Na odbudowę woj. olsztyńskiego, a w związku z tym wzmocnienie akcji osadniczej zwiększone zostały ostatnio kredyty Ministerstwa Odbudowy. Przeznaczona na II półrocze br. kwota 55-milionów zł. jest już w naszych warunkach — sumą pokaźną.

Wzrasta dopływ materiałów przemysłowych, a szczególnie budowlanych. Wzrasta też produkcja miejscowych cegielni, dachówczarni, zakładów, fabryk narzędzi rolniczych. Liczba osadników (przesiedleńców i repatriantów) systematycznie wzrasta, coraz dłuższe i szersze są pola uprawne wokół osiedlonych zagród, wzrasta pogłowie inwentarza. Wzrasta liczba rodzin rybackich, połowy wykazują coraz lepsze rezultaty; ostatnio założono kilka dużych wylęgarni ryby śródlądowej. Gospodarka leśna i przemysł drzewny są dziedzinami jeszcze nieco opóźnionymi.

Na teren województwa olsztyńskiego zwrócona została baczniejsza uwaga najwyższych czynników państwa. Ostatnio bawiła w Olsztynie komisja złożona z przedstawicieli Ministerstw: Ziemi Odzyskanych, Aprowizacji i Handlu, Przemysłu i Centralnych Zarządów przemysłowych. Celem jej było zbadanie możliwości wzmocnienia rozwoju przemysłowego Mazurów. Baczniejszą uwagę zwrócono na przemysł drzewny oraz na rybactwo i przemysł z nim związany. Te dziedziny gospodarce mają w tej chwili najlepsze możliwości i perspektywy rozwojowe.

Równoległe z akcją rozwoju przemysłu i miast idzie akcja pomocy odbudowy i osadnictwa rolnego w ramach polityki M. Z. O. — jako dwie wzajemnie się uzupełniające dziedziny, zmierzające do jednego celu: zagospodarowania i spolszczenia tych ziem.

UWAGI KOŃCOWE

Mijamy w drodze powrotnej Nidzicę (Nidzica). Wiszą jeszcze nadłuczone szyldy mówiące, że tutaj do niedawna kupcami byli: Marchlewitsch, Joswig. Może zostali tu jeszcze ich synowie lub wnukowie. Wierzymy, że po przejściowym okresie zachwiania, potomkowie ci będą dzielnicami polskimi Marchlewiczami i Józwickami.

Zwalony budynek dawnego niemieckiego urzędu celnego i dawna granica. Już ona nigdy tedy przebiegać nie będzie i ten budynek dla celów poprzednich nie zostanie odbudowany. Niemczyzna została odepchnięta bezapelacyjnie daleko na Zachód.

Znow ukazały się bielone ściany i słomiane strzechy. Wzdłuż szosy na Mławę widzimy dużo zagród, które swym wyglądem świadczą, że u ich właścicieli przednówki są długie i ciężkie. I świadczą o tym, że trzeba podważyć nieco usłużone pojęcie o mocy przywiązania naszego chłopca do odziedziczonego zagona.

Mazurskie ma przyszłość przed sobą i czeka na ludzi uczciwej pracy.

Książki nadesłane do Redakcji

Wydawnictwa spółdzielni wydawniczej „Książka” 1946 r.

Bałzac: Stracone złudzenia, str. 374.
— Blaski i nędze życia kurtyzany, str. 334.
Kochanowski: Wybór Poezji, str. 172.
Prus: Faraon t. II/III, str. 317, 270.
Rudnicki: Józefów, str. 16.
Bogucki: Mały kodeks karny, str. 129.
Plechawski: O materialistycznym pojmowaniu dzieł, str. 53.
Dembowski: Psychologia małp, str. 270.
Aldridge: Orzeł morską, str. 272.
Aragon: Niewola i wielkość Francji, str. 162.
Schabowski: Szarotka, str. 28.
Klimczak: Od Oku do Szprewy, str. 228.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Premumerata „Wiś” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kahuzyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pietak Stanisław. Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2 D-011414